NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką po cztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 6 października 1906 r. Nr. 40.

Krwawa walka o kościół.

(Treść na stronie 2).



Od Wydawnictwa.

Wszystkim P. T. Prenumeratorom naszym, ze względu na konieczność uregulowania nakładu, przypominamy z powodu rozpoczęcia tego czwartego kwartału, że

czas odnowić przedpłatę,

która w Galicyi wynosi z przesyłką pocztową kwartalnie tylko 4 korony, w Królestwie Polskiem bez odsyłania kwartalnie 1 rb. 80 kop., półrocznie 3 rb 60 kop.; z przesyłką pocztową kwartalnie 2 rb. 60 kop., półrocznie 5 rubli 20 kop.

W Galicyi należy nadsyłać prenumeratę wprost do centralnej Administracyi naszego pisma

w Krakowie, ul. Zacisze 1. 7.

w Królestwie Polskiem do biur G. Ungra w Warszawie, ul. Wierzbowa 8, lub Aleje Jerozolimskie 78.

Ktoby z Szanownych Abonentów naszych nie nadesłał przedpłaty na kwartał czwarty do 10-go b. m., temu nie moglibyśmy już wysłać następnego numeru.

W czwartym kwartale, oprócz sensacyjnych powieści, drukowanych obecnie w „Now. Illustr.“, zaczniemy wkrótce druk niezwykle zajmującej, wyłącznie dla nas pisanej pracy wielce poczytnego powieściopisarza

Artura Gruszeckiego.

Pamiętny Czytelnikom naszym autor „Bojowników“, osnuł najnowszą swoją **powieść na tle rozgłośnych pogromów żydowskich** w miastach państwa rosyjskiego.

Znany powieściopisarz-publicysta na nasze zaproszenie, odbył umyślne studya na miejscu w Białymstoku i innych miastach, nawiedzonych klęską pogromów, dzieło jego będzie więc miało wartość dokumentu historycznego.

Krwawa walka o kościół.

(Do illustracyi tytułowej)

Jak wiadomo, w Lesznie pod Warszawą, gnieździe mankietników, sekciarze zagarnęli przemocą kościół parafialny. Otóż w dniu 24 z. m. kościół ten miał być im na mocy wyroku sądowego odebrany i oddany prawowitym katolikom. Jakoż od rana przybył tam komisarz sądowy, członkowie dozoru kościelnego i naczelnik straży ziemskiej z Grodziska z połową kompanii piechoty. Tymczasem mankietnicy zajęli całe terytoryum kościelne, przyczem kobiety z dziećmi i częścią mężczyzn zasiedli w kościele, a reszta mężczyzn — zajęła cmentarz przed nim. Aby uniknąć rozlewu krwi, postanowiono czekać cierpliwie, aż sekciarze opuszczą kościół. Na tem zeszedł czas do wieczora, żadna jednak strona nie ustąpiła.



Ćwierć wieku w Stambule: Jeden z najzdolniejszych dyplomatów, Henryk hr. Calice, od 26 lat ambasador austro-węgierski w Konstantynopolu, usuwający się w zacisze domowe po 53-letniej służbie politycznej.

Przez całą noc mankietnicy nie opuszczali kościoła, otoczonego przez wojsko. Dnia następnego wobec oporu sekciarzy, naczelnik straży ziemskiej zdecydował się wyprzeć ich siłą zbrojną. Ludność wiosek okolicznych od wczesnego rana ściągnęła pod Leszno, aby zająć odebrany kościół. Na miejsce wyjechał również z Zaborowa nominalny proboszcz parafii lesznowskiej, ks Krocin. Sytuacya stawała się coraz groźniejszą. Na szczęście jednak głód dokonał tego, czego nie zdołał był wywrzeć ani postrach bagnetów, ani powaga prawa, reprezentowanego przez komornika. Po 32-godzinnem siedzeniu w kościele, sekciarze, przynagleni głodem, poczęli opuszczać świątynię. W ciągu dnia z kościoła wyszło przeszło 400 osób, pozostało jedynie jakieś 15—20 osób, przeważnie kobiet. Postanowiono więc jeszcze czekać, dopóki kościół nie zostanie opróżniony ostatecznie. W tym celu kościół okolono silnym kordonem wojska: kto wyjdzie z niego, powtórnie powrócić nie może. Pewna liczba upartych mankietniczek postanowiła wszakże wytrwać do ostatka i pomimo, iż trzecią już dobę pozbawiona była wody i pożywienia, pozostała w kościele na trzecią noc. Ponieważ jednak sekciarze, zamknięci w kościele, odcięci zostali zupełnie kordonem wojskowym i nie mogli dostać znikąd pożywienia, musieli w końcu ustąpić.

Nie obyło się jednak bez zajścia krwawego. Maryawici miejscowi, chcąc przyjść z pomocą zamkniętym w kościele współwyznawcom i dostarczyć im żywności, chwycili się podstępu. Zgromadzili się w większej ilości i niby, jako prawowierni katolicy, natarli na kordon wojska, okalający kościół. Z tłumu ktoś strzelił w kierunku żołnierzy, którzy wobec tego dali salwę do tłumu. Kule jednego z tłumu zabiły a ośmiu raniły. Rannych ujęto i to zdradziło podstęp sekciarzy, przekonano się bowiem, że byli to nie katolicy, lecz mankietnicy.

Ostateczne opuszczenie kościoła przez przywłaszczycieli nastąpiło dnia 27 bm. około 6-tej przed wieczorem. Garstka wycieńczonych kobiet i osłabłych mężczyzn chciała wyjść uroczyście z baldachimem, ze światłem, ze śpiewami i — portretem mateczki Kozłowskiej. Lecz wojsko, nie pozwoliło na zabranie żadnych ruchomości kościelnych i odebrało je siłą.

Otwarcie sprofanowanej świątyni nastąpi dopiero po wizytacyi biskupiej.



Katedra chemii lekarskiej: Obdarzony tytułem radcy dworu z okazyi przeniesienia na własne żądanie w stan spoczynku, profesor uniw. Jagiellońskiego dr. Aleksander Stopczański, od 42 lat pracujący na katedrze chemii lekarskiej.

Ćwierć wieku w Stambule.

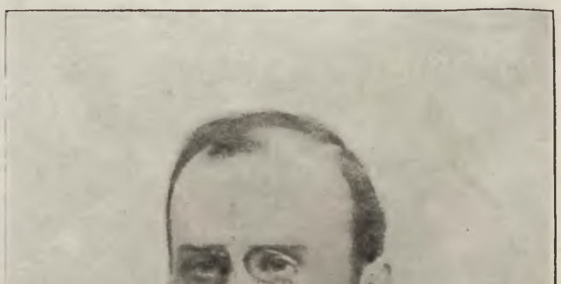
W zacisze domowe usuwa się jeden z najzdolniejszych dyplomatów po 53 letniej służbie, z czego 26 lat na stanowisku ambasadora w Konstantynopolu. Przez przeszło ćwierć wieku, zastępował w Stambule monarchię austro-węgierską, Henryk br. Calice, broniąc na tym tak ważnym posterunku w polityce świata z niezwykłą znajomością rzeczy, niezmordowaną czujnością i energią interesów reprezentowanego przezeń państwa. Działalność jego nad Bosforem spotkała się nieraz z uznaniem monarchy, który teraz wyniósł ustępującego ambasadora do stanu hrabiowskiego. Henryk Calice liczy już przeszło 75 lat. Urodził się w Gorycyi, a po studyach w Wiedniu, Heidelburgu i Paryżu, wstąpił do służby konsularnej już 20-paroletnim młodzieńcem. Zajmował po kolei w służbie dyplomatycznej rozmaite, coraz bardziej odpowiedzialne i trudne stanowiska w Tryeście, Wiedniu, Liverpolu, w Azyi wschodniej (jako minister-rezydent przy dworach: chińskim, japońskim i siamskim), w Bukareszcie i Konstantynopolu. W 1877 roku, powołany został do ministerstwa spraw zagranicznych, gdzie przebył czasy kongresu berlińskiego i okupacyi Bośnii i Hercogowiny. W lipcu 1880, zamianowany został ambasadorem w Konstantynopolu i dotąd przetrwał na tem stanowisku, ciesząc się mirem u sułtana. Wśród mnóstwa odznaczeń austryackich, tureckich i zagranicznych, posiada Calice wielką wstęgę orderu Leopolda. Znaczne zasługi położył przy przedsięwziętych na terytoryum tureckiem wykopaliskach. Hrabia jest żonatym i ma jednego syna. Dziś usuwając się w zacisze domowe, wielki dyplomata osiada w St. Peter, koło rodzinnego swego miasta Gorycyi.

Katedra chemii lekarskiej.

Istotnie, jako „dobrze zasłużony“ odchodzi z uniwersytetu Jagiellońskiego w stan spoczynku, profesor Stopczański, którego wyborną, pełną wyrazu podobiznę, podajemy na pamiątkę jego uczniom.

A w ciągu 42 lat swej pracy na katedrze, wykształcił ich kilka tysięcy. Uwielbiali go też oni wszyscy dla niezwykłych jego serca zalet, widząc **w nim zawsze życzliwego przyjaciela, wyrozumiałego dla młodzieży.** Na wykłady dra Stopczańskiego chodzili uczniowie tem chętniej, że były one nader zajmujące, a znajdowały w nich niejednokrotnie wyraz zarówno pogoda umysłu, jak humor, które cechują sympatycznego profesora.

Dr. Aleksander Stopczański, (ur. w r. 1835 w Nowym Targu), po ukończeniu szkół średnich w Tarnowie, studyował medycynę w Wiedniu, gdzie też w 1858 r. uzyskał dyplom doktorski. Z początku był lekarzem szpitalnym w Wiedniu, potem asystentem przy katedrze chemii patologicznej w



Katedra chemii lekarskiej: Następca prof. Stopczańskiego, starszy inspektor ogólnego zakładu badania środków spożywczych w Krakowie, dr. Leon Marchlewski, mianowany zwyczajnym profesorem stosowanej chemii lekarskiej na uniwersytecie Jagiellońskim.

tamtejszej wszechnicy. Do kraju wrócił w r. 1864 i objął w Krakowie stanowisko chemika i docenta chemii patologicznej, oraz kierownika pracowni chemicznej. W cztery lata później, został nadzwyczajnym, a w 1874 r. zwyczajnym profesorem chemii lekarskiej w uniwersytecie Jagiellońskim i odtąd był kilkakrotnie wybierany dziekanem. Drukiem ogłosił dr. Stopczański szereg rozpraw z dziedziny chemii lekarskiej.

Z okazyi przeniesienia go na własne żądanie w stały stan spoczynku, cesarz nadał prof. Stopczańskiemu tytuł radcy dworu.

Następcą zasłużonego uczonego na katedrze w uniwersytecie Jagiellońskim, został starszy inspektor ogólnego zakładu badania środków spożywczych w Krakowie, docent dr. Leon Marchlewski, mianowany zwyczajnym profesorem stosowanej chemii lekarskiej. Załączamy tu i jego fotografię.



Pożyteczna instytucya: Starszy radca namiestnictwa Mieczysław Aleksandrowicz, zastępca prezesa Rady nadzorczej Tow. budowy tanich domów dla urzędników we Lwowie.

Pożyteczna instytucya.

Drożyzna mieszkań w obu stolicach Galicyi, we Lwowie i w Krakowie, doszła w ostatnich czasach do niemożliwości. Właściciele kamienic częścią z powodu ucisku podatkowego i ogólnej drożyzny, częścią zaś wiedzeni chęcią zysku, podnieśli czynsze w przeciągu kilku lat o 50, 80, a w niektórych wypadkach o 100 procent. Drożyzna ta odbija się najdotkliwiej na tak licznej u nas warstwie ludności, na klasie urzędniczej, klasa ta bowiem, skazana na jedyny dochód, tj, na pensyę, nie może tej nadwyżki rozchodów powetować zwiększeniem dochodów.

Z tego powodu powstała równocześnie prawie wśród urzędników we Lwowie i w Krakowie, a nadto w Sanoku, myśl założenia towarzystwa, którego celem byłoby budowanie tanich domów mieszkalnych dla urzędników.

Mimo całego szeregu trudności, jakie przeprowadzenie tej sprawy wymaga, nastąpiło po kilku miesiącach przygotowań ukonstytuowanie się takiego towarzystwa we Lwowie. Według statutu, zatwierdzonego już przez władze, celem stowarzyszenia jest podniesienie gospodarstwa członków przez budowanie i nabywanie dla nich tanich domów mieszkalnych, przez ułatwianie im budowy, udzielając pomocy prawnej, finansowej i technicznej, wreszcie przez wynajmowanie im mieszkań w domach stowarzyszenia. Członkami stowarzyszenia mogą być urzędnicy i nauczyciele państwowi, urzędnicy autonomiczni, kolei państwowych i instytucyj, posiadających fundusz emerytalny, nauczyciele szkół ludowych i wydziałowych, pensyonowani oficerowie, oraz wdowy po tych osobach.

Każdy z członków towarzystwa będzie miał prawo i możność na bardzo dogodnych warunkach stać się właścicielem domu mieszkalnego, w zdrowej części miasta położonego. Zbyteczne chyba dowodzić, jakiem dobrodziejstwem będzie to dla sfery urzędniczej. Nie tylko materyalnem, ale i moralnem. Bo czyż może być coś milszego, coś bardziej pociągającego, nad „własny domek“?

Spodziewać się więc należy, że lwowskie towarzystwo budowy tanich domów mieszkalnych dla urzędników, już w najbliższej przyszłości stanie się poważną instytucyą, i że działalnością swą ogarnie szereg miast prowincyonalnych. Dążeniem obecnego kierownictwa towarzystwa jest założenie takich towarzystw w innych miastach, a następnie zjednoczenie ich w jeden silny związek. Utworzenie takiego związku jest pożądanem zwłaszcza ze względów finansowych, dla dania instytucyi silnej podstawy kredytowej.



Pożyteczna instytucya: Radca dworu i szef prezydyum namiestnictwa, Wacław Zaleski, prezes Rady nadzorczej Tow. budowy tanich domów dla urzędników we Lwowie.

Sprawami towarzystwa kierować będzie rada nadzorcza i dyrekcya. Na czele rady nadzorczej stoją: radca dworu i szef prezydyum namiestnictwa p. Wacław Zaleski jako prezes, oraz st. radca rachunkowy namiestnictwa p. Mieczysław Aleksandrowicz, jako zastępca prezesa. Dyrektorem towarzystwa obrano radcę prokuratoryi skarbu dr Leonarda Stahla, jego zastępcami pp.: inż. Alfreda Broniewskiego i sekretarza skarbu dr. Jana Gottfrieda.

Portrety tych sterowników młodego a ze wszech miar pożytecznego towarzystwa, pomieszczamy w dzisiejszym numerze.



Pożyteczna instytucya: Inżynier Alfred Broniowski, zastępca dyrektora Tow. budowy tanich domów dla urzędników we Lwowie.

Niezwykły proces sądowy.

(Do illustracyi na str. 13)

Ciekawy proces toczył się przez środę i czwartek ubiegłego tygodnia przed krakowskim sądem przysięgłych. Trybunałowi przewodniczył radca Trzaskowski, jako wotanci zasiadali radca Grodyński i adjunkt Nowotny. Oskarżycielem był znany i powszechnem cieszący się poważaniem, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego dr Odon Bujwid, kierownik zakładu szczepień przeciw wodowstrętowi; na ławie oskarżonych zasiadł p. Zygmunt Klemensiewicz, działacz socyalistyczny. (Członków trybunału widzą Czytelnicy na załączonej fotografii, zdjętej umyślnie podczas procesu prof. Bujwida).

Przedmiotem skargi były artykuły w kilku numerach „Naprzodu“ ze stycznia br., w których zarzucono prof. Bujwidowi, jako właścicielowi i kierownikowi krakowskiego zakładu szczepień ochronnych przeciw wodowstrętowi, szereg nadużyć, wynikających ze sknerstwa i to nadużyć, dokonanych na osobach chorych, w jego zakładzie dla leczenia pozostających. Zarzuty te uwłaczały czci prof. Bujwida, to też zaskarżył on byłego redaktora odpowiedzialnego „Naprzodu“ p. Ignacego Osostowicza oraz p. Klemensiewicza, jako autora artykułów. P. Osostowiczowi, nie znając miejsca jego pobytu, nie doręczono wezwania, przed sądem stawił się więc sam p. Klemensiewicz.



Pożyteczna instytucya: Dr. Leonard Stahl, dyrektor Tow. budowy tanich domów dla urzędników we Lwowie.

Po wylosowaniu ławy przysięgłych przewodniczący próbował doprowadzić do ugody między stronami. P. Klemensiewicz jednak oświadczył, że nie może złożyć ani przepraszającej, ani odwołującej deklaracyi. Wobec tego pojednanie okazało się niemożliwem i przystąpiono do rozprawy.

Pierwszy zeznawał obwiniony Klemensiewicz. W dłuższem przemówieniu uzasadniał oskarżony swoje zarzuty, podniesione swego czasu w „Naprzodzie“, podtrzymał wszystkie swoje twierdzenia, że w zakładzie prof. Bujwida panuje sknerstwo, że chorzy nie dostają dostatecznej i porządnej ilości jadła, że nadto służący Jodkowski znęcał się nieraz nad nimi.

Zastępca oskarżyciela dr Gertler zauważył, że już same wywody obwinionego wskazują, iż p. Klemensiewicz kieruje się nienawiścią do swego szefa i dobroczyńcy, prof Bujwida i podaje fakty nieprawdziwe lub przekręcone.

Przystąpiono do przesłuchania świadków, objętych aktem oskarżenia Świadkowie zeznawali przeważnie korzystnie dla prof. Bujwida. Okazało się jednak, że przesłuchanie świadków, objętych aktem oskarżenia, nie wystarcza do zupełnego wyświetlenia sprawy, to też trybunał po naradzie uchwalił zawezwać niektórych świadków, podanych przez obrońcę obwinionego, dra Heskiego, oraz dalszych świadków, podanych przez zastępcę oskarżyciela, dra Gertlera. Wskutek tego rozprawę odroczono. Nowa rozprawa odbędzie się jeszcze w bieżącej kadencyi koło 17 b. m.

Przez cały ciąg rozprawy audytoryum zapełnione było mnóstwem osób z inteligencyi, pośród której przeważała młodzież uniwersytecka.

CONAN DOYLE.

PÓŹNA ZEMSTA

na język polski przełożył W. L.

ZE WSPOMNIEN WATSONA

3 Ciąg dalszy.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, w wieku około lat czterdziestu, dosyć dobrze zbudowany, o czarnych, kręcących się włosach i krótko strzyżonaj brodzie. Odziany był w surdut i kamizelkę z ciężkiego podwójnego sukna, nosił szare spodnie i wykwintną bieliznę. Do niego należał także gładko prasowany, wysoki cylinder, leżący tuż obok niego. Ramiona rozwarł szeroko, dłonie zacisnął kurczowo, nogi spiętrzył nieco, prawdopodobnie podczas walki na śmierć i życie.

W jego martwych rysach mieściło się tyle przerażenia i tak zacięta nienawiść, jakiej nigdy przedtem nie widziałem na ludzkiej twarzy. Ten rys złośliwy, do tego niskie czoło, szeroki nos i wystające szczęki, nadawały trupowi wstrętnego, zwierzęcego wyglądu, który zwiększał się jeszcze wskutek nienaturalnego, pokurczonego położenia. Śmierci nieraz w oczy patrzałem, nigdy jednak nie uczyniło to na mnie tak pełnego grozy wrażenia, jak w tym opustoszałym domu przedmieścia Londynu.

Tajny komisarz Lestrade przyjął nas u drzwi, wiodących do pokoju.

— Wypadek ten narobi wrażenia — powiedział z naciskiem — nie jestem nowicyuszem, a jednak coś podobnego przeżywam po raz pierwszy.

— Szukamy daremnie wyjścia — dodał Gregson.

Sherlock Holmess ukląkł obok zwłok i począł je badać dokładnie.

— Rany nie mogłeś pan zatem odkryć — zapytał, wskazując na liczne ślady krwi na podłodze.

— Nie! Niema żadnej — odparli Gregson i Lestrade równocześnie.

— W takim razie krew to kogoś innego. prawdopodobnie mordercy, jeśli wogóle popełniono morderstwo. Wypadek ten przypomina mi śmierć Van Jansena w Utrechcie w r. 1834. Pamięta go pan dobrze — panie Gregson?

— Nie, nie mam najmniejszego pojęcia.

— Powinien pan studyować historyę! Niema nic nowego, wszystko to już było dawniej — mój panie!

Podczas tych słów, palce jego goniły z niebywałą zręcznością to tu, to tam. Naciskał, dotykał i badał poszczególne członki ciała z taką szybkością. że pojąć zaledwie mogłem, jak mógł łączyć poszczególne wyniki badania w jedną logiczną całość. Wzrok jego nabrał tymczasem owego ciekawego wyrażenia, jakie obserwowałem już nieraz u niego W końcu obwąchiwał wargi zmarłego i oglądał podeszwy jego eleganckich trzewików.

— Czy martwy leży dokładnie w tej samej pozycyi, tak jak go znaleziono? — zapytał Sherlock.

— Badaliśmy, nie ruszając go z miejsca.

— Dobrze! Każ pan zanieść go do trupiarni! Nic więcej się nie dowiemy!

Nosze stały w pogotowiu i na rozkaz Gregsona weszło czterech jego ludzi. Gdy podnieśli martwego z ziemi, wypadł jakiś pierścień i potoczył się po podłodze. Lestrade rzucił się za nim jak ptak drapieżny, podniósł go i patrzał nań z miną, ogromnie zdziwioną.

— Obrączka ślubna kobiety — skąd ona się tu wzięła? — zawołał.

Wszyscy spoglądaliśmy na złoty pierścień, który trzymał w ręce — jaka narzeczona mogła go nosić na palcu?

— Sprawa już i tak bardzo zawikłana, staje się jeszcze zawilszą — zauważył Gregson.

— A może wyjaśnia się zwolna — odparł Holmess w zamyśleniu. — W każdym razie na nic się nie przyda gapić się dłużej na niego; nie będziemy z tego ani troskę mądrzejsi. W kieszeniach nic nie znaleźliście?

— W przedpokoju wszystko jest razem — odparł Gregson — chodź pan!

Opuściliśmy pokój:

— Oto wszystko — zawołał — wskazując na kupkę rozmaitych przedmiotów.

Złoty zegarek nr 97163 od Barranda w Londynie, krótka dewizka z masywnego złota, złoty pierścień z odznaką wolnomularzy, psia główka z oczkami rubinowemi jako szpilka do krawatki, portfel z ruskiej skóry karty wizytowe z nazwiskiem Enocha J. Drebbera z Cleveland — to zgadza się całkowicie ze znaczkami na bieliźnie. Portmonetki nie miał żadnej, drobne pieniądze w kieszeni od kamizelki w kwocie siedmiu funtów i trzynastu szylingów, kieszonkowe wydanie Boccacia Dekamerona, własność Józefa Stangersona, dwa listy, jeden do E. J. Drebbera, drugi do Józefa Stangersona.

— Skąd adresowane?

— Od amerykańskiego banku wymiany pieniędzy. Obydwa pochodzą od towarzystwa okrętowego Guion i dotyczą odjazdu ich statku z Liverpoolu. Prawdopodobnie zamierzał nieszczęsny powrócić do New-Yorku.

— Dowiadywał się pan o Stangersona?

— Rozumie się — odparł Gregson — do wszystkich gazet posłałem zapytania, równocześnie poszedł jeden z mych ludzi do banku.

— W Cleveland pytał się pan także?

— Tak jest, dziś rano wysłałem depeszę.

— Jak brzmiała?

— Podaliśmy poprostu, co zaszło, prosząc o możliwe objaśnienia w tej sprawie.

— W sprawie pewnego punktu, który wydawał się panu bardziej ważny, nie zasięgał pan żadnych wiadomości?

— Pytałem o Stangersona?

— Nic więcej? Czyż cała ta sprawa nie obraca się dokoła jednego, zdaniem mojem, nadzwyczaj ważnego, punktu? Czy nie zechce pan raz jeszcze zatelegrafować?

Depesza moja zawierała wszystko, co potrzeba — odparł Gregson w tonie oburzenia.

Sherlock Holmess zaśmiał się w duchu i chciał zrobić jakieś spostrzeżenie, gdy wszedł Lestrade, który pozostał w pierwszym pokoju.

— Właśnie odkryłem coś — zawołał — zacierając ręce z wyrazem radości. — Gdybym był mniej dokładnie badał ściany pokoju, wątpię, czy wpadłbym na to.

Oczy tajnego detektywa błyszczały z radości i wewnętrznego tryumfu, że zdołał uprzedzić swego kolegę.

— Wejdźcie panowie — proszę, z powrotem — wołał — spiesząc przed nami do pokoju. który znacznie mniej groźniej wyglądał po wyniesieniu trupa — tak — teraz przystąpcie bliżej.

Potarł zapałkę o podeszwę trzewika i zbliżył ją do ściany. W kącie zwisała oderwana tapeta a na murze, który ujrzeliśmy, wpadło nam natychmiast w oko jedno jedyne słowo, krwią napisane: „Zemsta“.

— Słowo to napisał morderca własną krwią — odpowiedział Lestrade — tu na podłodze widać jeszcze, jak spadała kroplami. Lepszego dowodu, że nie zachodzi tutaj samobójstwo, nie potrzeba chyba. Czy widzi pan tę wypaloną świecę na gzymsie pieca? Przy mdłym jej blasku pisał morderca to słowo w tym ciemnym zresztą kącie pokoju!

— Nie miałem jeszcze czasu rozglądnąć się należycie po pokoju — odpowiedział Holmess. wyciagając z kieszeni szkło powiększające i centymetr Panowie pozwolą, że się wezmę rączo do roboty

Bez najmniejszego szelestu począł chodzić po pokoju; to stanął. to spoglądał badawczo ku podłodze. raz położył się nawet twarzą na ziemi. W swych poszukiwaniach zagłębił się do tego stopnia. że zupełnie zapomniał o naszej obecności; w trakcie tego prowadził ciche rozmowy z samym sobą, wzdychał głośno, lub gwizdał z zadowoleniem, podniecając się przez ustawiczne wykrzykniki do nowej pracy. Wyglądał jak pies gończy, co skacze w tył i w bok przez gęstwinę, szczeka i wyje z ciekawości i dotąd nie zazna spokoju, aż wpadnie na ślad zagubiony. Dobre dwadzieścia minut prowadził te dziwne badania, mierzył z mikroskopijną dokładnością oddalenia poszczególnych punktów na ziemi, dla oka mego zupełnie niewidomych. potem wysokość i szerokość ścian. Jaki cel ukrywał się w tem wszystkiem, nie mogłem zrozumieć. Na pewnem miejscu naprzykład zebrał ostrożnie kupkę szarego prochu z ziemi. i zsypał ją zwolna do koperty. Wkońcu skierował szkło powiększające na tajemnicze słowo na ścianie i badał każdą z liter możliwie najdokładniej. Rezultat zdawał się go zaspakajać, gdyż schował lupę z widoczną radością.

— Powiadają, że geniusz jest niczem innem jak niezłomną wytrwałością — zauważył z uśmiechem — o ile fałszywem jest to zdanie w samej istocie, to jednak można je zastosować przy pracy tajnego detektywa.

Gregson i Lestrade towarzyszyli dziwacznemu zachowaniu pilnego dyletanta z ciekawym ale pogardliwym nieco wzrokiem. Nie zdawali sobie dokładnie sprawy, o czem ja zdawien dawna wiedziałem, a mianowicie, że Sherlock Holmess, ma zawsze, nawet w swych pozornie najnieznaczniejszych badaniach, zawsze jeden i ten sam plan przed oczyma.

— No i cóż pan myśli o tym ciekawym wypadku? — zapytali go prawie równocześnie.

— Jesteście panowie na tak dobrej drodze — odparł im Holmess bez cienia ukrytego szyderstwa — że byłoby wprost niegrzecznością z mej strony, narzucać się z moją pomocą lub radą. Zbierajcie sami zaszczyty, jakie spadną na was za wasze zasługi. Może w ciągu waszych dalszych badań będę wam mógł czemś posłużyć — w takim razie jestem do usług. W każdym razie pragnąłbym koniecznie pomówić z policyantem, który odkrył zwłoki Drebbera. Powiedzcie mi proszę — jego nazwisko i adres.

Lestrade otworzył swój notatnik.

— John Rance nie ma teraz służby. Znajdzie go pan z pewnością w jego własnem mieszkaniu, Kennington Park, Audley Court Nr. 46.

Holmes notował adres.

— Pójdź pan ze mną, doktorze — zawołał do mnie — poszukamy go wspólnie. — Następnie pożegnał się z tajnymi detektywami.

Zwrócę wam uwagę na jedno jeszcze, co panu znacznie zaoszczędzi trudu — dodał przy wyjściu — tutaj zachodzi rabunek; morderca jest na sześć stóp wysoki, w pełni lat, nogi ma stosunkowo małe. nosi trzewiki ze szerokimi szpicami i palił Trichinopllycygaro. Ofiarę swoją przywiózł dorożką; trzy podkowy konia były zupełnie stare; podkowa przy lewej nodze przedniej, nowa. Morderca ma czerwonawą cerę i niezwykle długie paznogcie u lewej ręki. Wszystko to szczegóły bez znaczenia, mogą jednak stanowić dla panów pewnego rodzaju punkt oparcia.

Lestrade i Gregson spojrzeli na niego z niedowierzaniem

— W jakiż sposób zginął Drebber, skoro nie zachodzi rabunek? — zapytał pierwszy.

— Otruto go — odpowiedział krótko Holmess. Po tej kategorycznej odpowiedzi oddalił się szybko, a dwaj współzawodnicy patrzeli za nim z wyrazem podziwienia w oczach.

ROZDZIAŁ IV.

Co powiedział nam John Rance?

Była może pierwsza godzina, gdyśmy opuszczali tajemniczy dom przy Brikston-Street, aby pospieszyć czemprędzej do najbliższego urzędu telegraficznego. Holmess wysłał jakąś długą depeszę, poczem pojechaliśmy do mieszkania policyanta.

— Zeznania świadków należy przyjmować możliwie z ich własnych ust — zauważył — i chociaż ta sprawa tak jasną jest dla mnie aż nadto, uważam przecież za stosowne, dowiedzieć się najbliższych szczegółów

— Ależ panie Holmess! — zawołałem zdziwiony niezmiernie — to niepodobna, abyś pan zdawał sobie sprawę z tego wszystkiego z taką drobiazgową dokładnością, jak pan to twierdzisz obecnie!

— Tak jest! wszelka wątpliwość wykluczona — odparł Holmess. — Zaraz po naszem przybyciu, pierwszem. co mi podpadło, był podwójny ślad kół, wiodący aż do samego parkanu. Wczoraj poraz pierwszy od tygodnia padało, a głębokie rowy mogły wtedy dopiero powstać, gdy ziemia należycie zmiękła Znać było także kopyta końskie, trzy niewyraźne. czwarta podkowa zarysowała się znacznie głębiej, wobec tego była świeższa od tamtych. Skoro dorożka jechała obok tego domu dopiero po deszczu, jak Gregson zapewnia, musiała zatem odwieść mordercę wraz z jego ofiarą w ciągu nocy.

— Sprawa wyświetlona nieco — odparłem — po czem wnosi pan jednak o zewnętrznym wyglądzie mordercy?

— Wysokość człowieka bardzo łatwo oznaczyć w wielu wypadkach według jego kroków. Rachunek zrobiłem szybko, ale nie chcę pana męczyć cyframi. Długość kroku mordercy znalazłem zarówno na polu w glinie rozmokłej, jak i w pokoju na gęstej powłoce kurzu. Prócz tego mogłem zrobić próbę: kto pisze na ścianie, nie czyni tego nigdy na wprost swoich oczu, a tajemniczy wyraz oddalony właśnie od ziemi sześć stóp. Widzi pan jakie to łatwe!

— A co do jego wieku?

— No, jeśli człowiek ten bez zbytniego natężenia stawia kroki na półpięta stóp, to nie jest on bardzo stary. Tak szeroką bowiem była kałuża na drodze do ogrodu, którą musiał przeskoczyć.

Eleganckie trzewiki przeszły brzegiem, morderca o ordynarnem obuwiu, ze szerokiemi szpicami przeskoczył ją sobie poprostu. Tu niema żadnej tajemnicy; wszystko polega na zasadach obserwacyi i wydawaniu końcowych sądów, jak to twierdziłem w mojej rozprawce. Czy łamie pan sobie głowę jeszcze nad czemś?

— Jak pan może wnioskować o jego paznogciach i twierdzić stanowczo, że palił Trichinopolly-cygaro?

— Morderca zanurzył we krwi długi paznogieć wskazującego palca i pisał tak na ścianie. Litery wyglądały, jakby ktoś drapał po murze. Na podłodze znowu znalazłem troszkę spalonego popiołu, poznałem też zaraz, że to popiół tylko z tego cygara. Popiołom cygar poświęciłem osobne studyum, pisałem nawet rozprawę o tem — mogę sobie pochlebić, że umiem każdą sortę cygar na pierwszy rzut oka rozeznać po specyalnym popiole. W tych specyalnych, a ścisłych wiadomościach pokazuje się różnica, jaka zachodzi między prawdziwie inteligentnym detektywem, a sortą do których zaliczam Gregsona i Lestrada.

— Jakżeż pan odgadł jego czerwoną cerę?

— To była śmiała hipoteza, której do chwili obecnej należycie nie umiem obronić, jakkolwiek przekonany jestem do głębi, że słuszność po mojej stronie.

Mimowoli chwyciłem się ręką za skroń.

— Dostaję formalnego zawrotu głowy — zawołałem — i im głębiej zastanawiam się nad tą całą historyą, tem bardziej zagadkowem mi się to wszystko wydaje. W jaki sposób dostali się oni obaj — jeśli dwóch ich było — do opustoszałego domu? Co się stało z woźnicą, który ich odwiózł? Jak mógł zmusić morderca swoją ofiarę do zażycia trucizny? Skąd pochodzą ślady krwi? Co skłoniło tego człowieka do mordu, skoro rabunek nie zachodzi? Czyj jest ślubny złoty pierścień? W jakim celu napisał morderca tajemnicze słowo „Zemsta“, nim się rzucił do ucieczki? — Aby ktoś był w stanie pogodzić to wszystko i wskazać pewną drogę wyjścia, śmiem mocno powątpiewać!

Przyjaciel mój zaśmiał się uradowany.

— Wszystkie trudności naszego położenia zebrał pan w jedną krótką całość — odparł. — Rzecz cała jasną już jest dla mnie, nie mam tylko paru szczegółów. Słowo, odkryciem którego tak się Lestrade chełpił, jest mojem zdaniem, tylko wojennym podstępem, aby policyę na fałszywe tory wprowadzić, że zemsty dokonano w porozumieniu z jakiemś tajnem stowarzyszeniem. — No wiele pan wie — panie Watsonie! — teraz będę się jednakowoż strzegł, zdradzić się jeszcze z czemśkolwiek. Kuglarz tak długo może pokazywać sztuczki, dopóki nie wyjaśni zasady — skoro jednak wiedzą o tem wszyscy — staje w rzędzie najzupełniej przeciętnych ludzi. Podobnie ma się rzecz i ze sprawą obecną!

— Broń Boże! — zawołałem — to nie stanie się nigdy! Badania policyjne podniosłeś pan do wysokości nauki i doprowadziłeś do doskonałości, jakiej nie miała nigdy!

Przyjaciel mój poczerwieniał z radości, słysząc taki wyrok, który wypowiedziałem w tonie najgłębszego przekonania. Już przedtem zauważyłem niejednokrotnie, że chętnie przyjmował każdą z moich pochwał, których nie szczędziłem jego sprytowi.

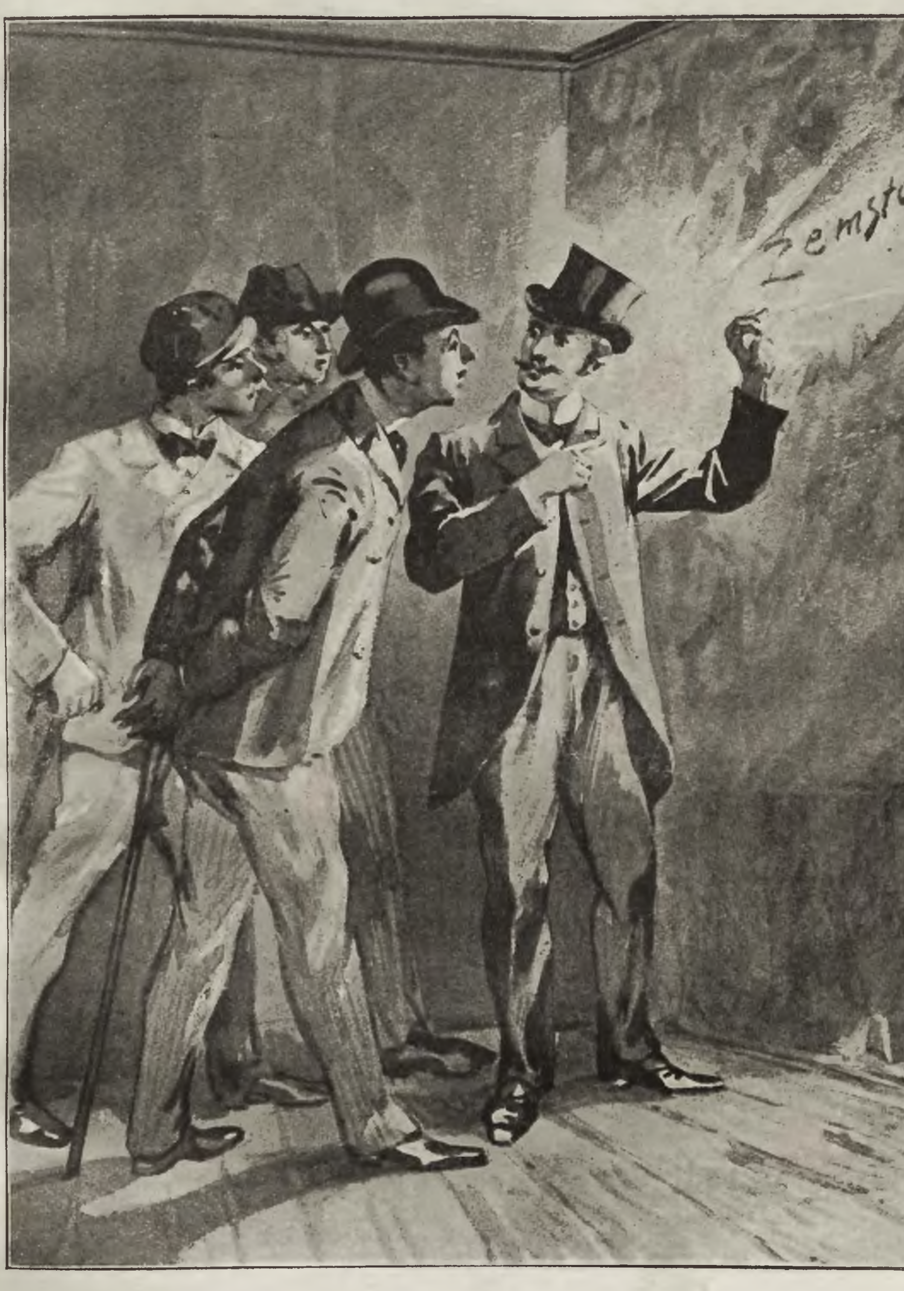
— Jeszcze coś dodam — zawołał uradowany — eleganckie trzewiki przyjechały w jednej dorożce z ordynarnem obuwiem, morderca szedł bardzo przyjaźnie z ofiarą, może nawet pod ramię. Po pokoju chodzili dość długo, albo powiedziawszy dokładniej: ofiara stała, a morderca chodził po pokoju i popadał w coraz większą wściekłość. Można się było przekonać o tem, badając dokładnie grubą warstwę kurzu. Przytem mówił morderca bez przerwy, gniew jego wzrastał, a w końcu dopuścił się zbrodni. Więcej sam niewiem na razie; zresztą to przypuszczenie może gołosłowne; mam jednak coś, na czem mogę pewnie budować. Nie mogę się dłużej zabawiać, gdyż dzisiaj wieczorem pójdę na koncert, chciałbym posłyszeć Nerudę.

Dorożka gnała tymczasem z szybkością błyskawicy przez najrozmaitsze wąskie uliczki przedmieścia, aż zatrzymała się wreszcie w okolicy najbardziej brudnej i ponurej.

— Po drugiej stronie Andley Court — zawołał woźnica, wskazując na cały szereg domów — zaczekam, aż panowie powrócą.

Andley Court mało pociągało ku sobie. Wąska uliczka wiodła na duży brukowany podworzec, otoczony dokoła ubogimi domkami. Szukając Nr. 46, przechodziliśmy obok całej gromady brudnych, zasmarowanych dzieci i rozwieszonej bielizny, aż wreszcie spostrzegliśmy na drzwiach nazwisko Rance'a.

Policyant udał się na spoczynek po służbie nocnej, proszono nas zatem, do małego przedpokoju, stanowiącego pokój przyjęć. Wkrótce potem zjawił się i Rance, niezadowolony, że zbudzono go ze snu.



...a na murze, który ujrzeliśmy, wpadło nam w oko jedno jedyne słowo, krwią napisane: „Zemsta“.

— Przecież złożyłem już w biurze zeznanie — mruknął zgryźliwie na powitanie.

Holmess wyciągnął z kieszeni złotówkę i trzymał ją niedbale między palcami.

— Chciałbym to wszystko posłyszeć z ust pańskich, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu — powiedział Holmess dobitnie.

Złoty talizman nie chybił celu.

— Z największą chęcią opowiem panom wszystko jak najdokładniej — zapewniał nas uspokojony Rance.

— Dobrze! Opowiedz pan zatem przebieg całej sprawy!

Policyant zajął miejsce na zrudziałej ze starości kanapie i począł czoło w bruzdy układać.

— Zacznę od początku — odparł. — Moja służba trwała od 10 wieczorem do 6 rano. O jedenastej była mała bitka pod „Białym Jeleniem“, zresztą nic więcej nie miałem do zanotowania. Koło 1 lunął deszcz, a koło 2 mniej więcej szedłem ulicą Brikston, aby zobaczyć, czy wszystko w porządku. Po drodze nie spotkałem żywej duszy, okolica wyglądała jak martwa, tylko parę dorożek przejechało obok mnie. Pomyślałem sobie właśnie, że mógłbym się wzmocnić trochę szklaneczką gorącego grogu, gdy nagle spostrzegłem jasny płomień w opustoszałym domu. Wiedziałem dobrze, że mieszkanie niezajęte, gdyż właściciel nie postarał się o dokładne zrobienie porządku po śmierci jednego z lokatorów, który umarł na tyfus. Widzę tedy jasny płomień i myślę sobie zaraz, że w tem tkwi coś nie bardzo czystego. Gdy przystąpiłem do drzwi —

— Przystanąłeś pan i poszedłeś z powrotem na ulicę — z jakiego powodu — zapytał Sherlock.

Rance przerwał swe opowiadanie i patrzał z podziwem na detektywa.

— Skąd pan wie to wszystko tak dokładnie — mamrotał — rzeczywiście, tak postąpiłem!

Gdy zbliżyłem się bowiem do drzwi pomieszkania, wszystko spoczywało w tak głębokim spoczynku, że powinno wejść nas już dwóch conajmniej. Wróciłem się, aby popatrzeć, czy nie spotkam czasem na ulicy jakiegoś kolegi z latarnią. Bogiem a prawdą, nie wiem, co to trwoga, jeśli to był jednak ten zmarły lokator, przyjemniej już by było w dwójkę

— Na ulicy nie było nikogo?

— Żywej duszy, łaskawy panie! Psaby nie wypędził na taką pogodę! Dodałem sobie nieco odwagli, zbliżyłem się znowu do drzwi pomieszkania, pchnąłem je silnie. Panowała tu głucha cisza. Znajdowałem się właśnie w pokoju, w którym widziałem jasny płomień. Na gzymsie kominka stała czerwona świeca i przy jej blasku ujrzałem wtedy....

— Wiem już, co pan zobaczył! Goniłeś pan potem po tym tajemniczym pokoju, ukląkłeś nawet przy zwłokach, próbując wprzód jeszcze drzwi kuchenne wyważyć.

Rance podskoczył zdziwiony do najwyższego z siedzenia.

Skąd pan to wszystko obserwował — zawołał podejrzliwie — gdzieś pan musiałeś skryć się, bo i skądże mógłbyś opowiadać to teraz z taką pewnością siebie.

Towarzysz mój wyjął swój bilet wizytowy i podał go Rancowi.

— Tylko niech pan zaraz nie myśli, że jestem mordercą i że pan może mnie zaaresztować — odpowiedział z uśmiechem. — Wilkiem nie jestem, przeciwnie, jestem tylko jednym z psów gończych, jak to Lestrade i Gregson poświadczyć mogą każdej chwili.

— No, ale cóż dalej, cóż pan w końcu zrobił?

— Wypadłem na ulicę — odpowiedział Rance, zajmując z powrotem miejsce na zrudziałej sofie, nie przestając nam jednak przypatrywać się bacznie — na alarm świstawką nadbiegło trzech moich kolegów.

— Czy na ulicy nie było jeszcze nikogo?

— Tak i nie! To zależy!

— Jak mam to rozumieć?

Policyant zaśmiał się dobrotliwie.

— No — ciągnął dalej — wychodząc bramą ogrodową — zauważyłem, że na parkanie wsparł się jakiś człowiek, śpiewając na całe gardło jakąś hulaszczą piosenkę. W życiu widziałem niejednego, który przebrał miarę, tak ululanego jednak, jak ten jegomość przy kracie, miałem przed sobą po raz pierwszy. Nie mógł mi stawiać oporu, gdyż sam stał ledwie na nogach.

— Jak wyglądał ten człowiek — zapytał nagle Holmess.

Zauważyłem, że policyanta gniewało niepotrzebne wypytywanie się.

— To był najzwyklejszy pijaczyna, bylibyśmy go też odstawili na policyę, gdyby nie ważniejsza sprawa, jaką musieliśmy się zająć.

— Musiał pan jednak zauważyć twarz jego, jak był ubrany — zawołał zniecierpliwiony Holmess.

— Naturalnie! Murcher i ja musieliśmy wziąć go pod ramię; długi jakiś jegomość o czerwonawej cerze, przy brodzie trzymał jakieś sukno i —

— Dobrze już! Dobrze! Co się z nim stało?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Uroczystości w Siemianówce pod Lwowem.

Wieś Siemianówka w powiecie lwowskim, zaliczy dzień 23 września b. r. do najpamiętniejszych w jej dziejach. W dniu tym odbyło się uroczyste poświęcenie fabryki dachówek, prowadzonej przez grono włościan, fabryki jabłecznika, również przez włościan prowadzonej, dalej poświęcenie nowozbudowanego piętrowego budynku szkolnego, wreszcie domu gminnego i Kółka rolniczego. Równocześnie odbył się zjazd okręgowy Kółek rolniczych powiatu lwowskiego.

Siemianówka i okoliczne wsi podlwowskie, zamieszkane albo wyłącznie albo w przeważnej części przez ludność polską, stoją pod względem kultury na wysokim stopniu. To też na uroczystości, zapowiedziane na ostatnią niedzielę, przybyły do Siemianówki tłumnie zastępy włościan z okolicy, w liczbie około półtora tysiąca. Prócz włościan przybyło wiele inteligencyi z pobliskiego miasteczka Szczerca, nauczycielstwo z okolicy, starosta lwowski Franz, inspektor szkolny dr. Falkiewicz i grono gości ze Lwowa.

Uroczystości rozpoczęły się rano nabożeństwem w parafialnym kościele. Odprawił je proboszcz ks. kanonik dr. Loga, który po mszy św. przemówił serdecznie do ludu. Następnie odbyły się kolejno poświęcenia obu fabryk i nowych budynków. Ceremonii kościelnych dopełnił wszędzie ks. dr. Loga, kończąc je krótkiemi przemówieniami. Najuroczyściej wypadło poświęcenie budynku szkolnego; prócz ks. dra Logi przemawiali tam starosta Franz i kierownik szkoły Kijankowski. Nastrój podnosiły śpiewy i deklamacye dziatwy szkolnej.

W porze południowej spożyto wspólnie obiad przy rozstawionych w dwu salach szkolnych stołach. Po obiedzie wzięli się delegaci Kółek rolniczych powiatu lwowskiego do poważnej pracy, do obrad nad szeregiem doniosłych dla dalszego rozwoju tej instytucyi w powiecie spraw. Przewodniczył tym obradom, zasłużony delegat zarządu głównego na powiat lwowski, z całem poświęceniem czasu i sił swoich pracujacy dla idei Kółek rolniczych dr. Bronisław Dulęba. Prócz sprawozdania zarządu Kółka miejscowego, prócz kilku referatów treści ekonomiczno-gospodarskiej, był na porządku dziennym wykład radcy i naczelnika sądu w Szczercu p. Rossowskiego „O sierocińskich radach gminnych“.

Wieczorem, na zakończenie uroczystego i tak ożywionego dnia, odegrała włościańska amatorska trupa z Siemianówki znaną sztukę ludową Anczyca p. t. „Łobzowianie“. Przedstawienie udało się wybornie, a włościanie-aktorowie role swe oddali ze zrozumieniem i temperamentem. Reżyseryą tego przedstawienia zajmowali się dwaj akademicy ze Lwowa pp. Czapczyński i Róg.



Fot. dla „Now. Illustrowanych“ M. Münz, Lwów.

Uroczystości w Siemianówce pod Lwowem: Grupa ochotniczej straży ogniowej Kółka rolniczego w Siemianówce; 1. Dr. B. Dulęba, 2. Szczepan Balicki, 3. Jan Jędrzejowski.

Na kresach wschodnich.

Wbrew publicznym żalom Rusinów, mnożą się objawy, że w Galicyi wschodniej częściej Polakom właśnie grozi rutenizacya, aniżeli przeciwnie. Szczególnie pod tym względem zagrożonym jest powiat doliniański, gdzie nie tylko włościanie, ale nawet mieszczanie rdzennie polskiej narodowości zapomnieli wręcz mowy ojczystej, a posługują się w życiu codziennem wyłącznie językiem rusińskim.

Taki smutny stan rzeczy pod tym względem uderza zwłaszcza w zaniedbanej mieścinie Rożniatowie, gdzie brud i niechlujstwo walczą o lepsze z nędzą i ciemnotą. Trafiały się wprawdzie wśród garstki inteligencyi polskiej jednostki pełne dobrej woli, które zdawały sobie sprawę z tych smutnych stosunków, nie umiały jednak wziąć się do pracy, jeżeli zaś kto próbował działać, to zazwyczaj obojętność drugich paraliżowała jego dobre chęci.

Pewna zmiana na lepsze w stosunkach Rożniatowa daje się spostrzegać dopiero od lat dwóch. Sędzia tamtejszy dr Ignacy Karcz, rozpatrzywszy się w sytuacyi, zerwał z systemem bezowocnych narad i sam na własną rękę przy pomocy garstki towarzyszy — nie oglądając się na resztę, podjął realną pracę, wprzągając do niej sam lud interesowany.

Tu się okazała jaskrawo szczerość dotychczasowych przyjaciół ludu. Ci, co dawniej na ustach mieli hasła pracy ludowej — nie umiejąc ich sami zrealizować — poczęli teraz dr Karczowi nie zliczone wytwarzać przeszkody. Wysiłki te jednak niegodne i z próżności wynikające, zawiodły. Energia i wytrwałość dr. Karcza wydała pożądane owoce.

Dzięki jego staraniom od listopada 1905 istnieje już w Rożniatowie miejscowe Koło Tow. Szkoły Ludowej, które pod przewodnictwem dr Karcza pięknie się rozwija. Otworzono w grudniu 1905 w łonie tegoż Koła polską Czytelnię wraz z biblioteką, która obecnie liczy z górą 400 dzieł z różnych dziedzin.

Dzielnie wspiera dr. Karcza w jego usiłowaniach proboszcz miejscowy ks. Franciszek Malinowski, nie pomijając żadnej sposobności, aby polskiego ludu naszego nie garnąć do Czytelni. Nader wydatnie pracują tam panie: Jadwiga Niedźwiedziowa (skarbniczka), Ida Stokklasówna (sekretarka), Marya Amonówna, Katarzyna Brazdilowa, Marya Karczowa i Marya Halkowa — a z panów: Tadeusz Halka (bibliotekarz), Franciszek Ligęza, Antoni Kowalski, Michał Komarski, Mieczysław Kaznowski i Ferdynand Król.

Pocieszającem jest, że do szeregu tych czyn-



Fot. dla „Now. Illustrowanych“ M. Münz, Lwów.

Uroczystości w Siemianówce pod Lwowem: Włościańska trupa amatorska w Siemianówce, która na zjeździe Kółek rolniczych powiatu lwowskiego, odegrała „Łobzowian“, pod reżyseryą pp. Michała Roga (1) i Tad. Czapczyńskiego (2), akademików ze Lwowa.

nych pracowników zaliczyć należy także mieszczan-rzemieślników, jak np. Władysława Łozińskiego, Piotra Malibranda, Piotra Dąbrowicza i Jana Kordasiewicza.

Podajemy w dzisiejszym numerze reprodukcyę wspólnej fotografii członków tej Czytelni. Jest to zaledwie połowa członków, których liczba dochodzi



Na wschodnich kresach: Nowe gniazdo Sokole w Rożniatowie, grupa druhów przed rozpoczęciem ćwiczeń lancami.

do 200. W Czytelni tej co niedziela odbywają się odczyty, a nadto co pewien czas obchody narodowe. Święcono szczególnie uroczyście rocznicę powstania Styczniowego a następnie rocznicę Konstytucyi 3 maja.

W tych warunkach spodziewać się można dalszego i trwałego rozwoju Czytelni, a dodatnie wyniki jej działania na lud już obecnie są widoczne. Podobno zainteresowała się już tą Czytelnią fundacya hr. Skarbka (właścicielka Rożniatowa) — a stała opieka z tej strony niewątpliwie przyczyniłaby się do utrwalenia tej narodowej placówki

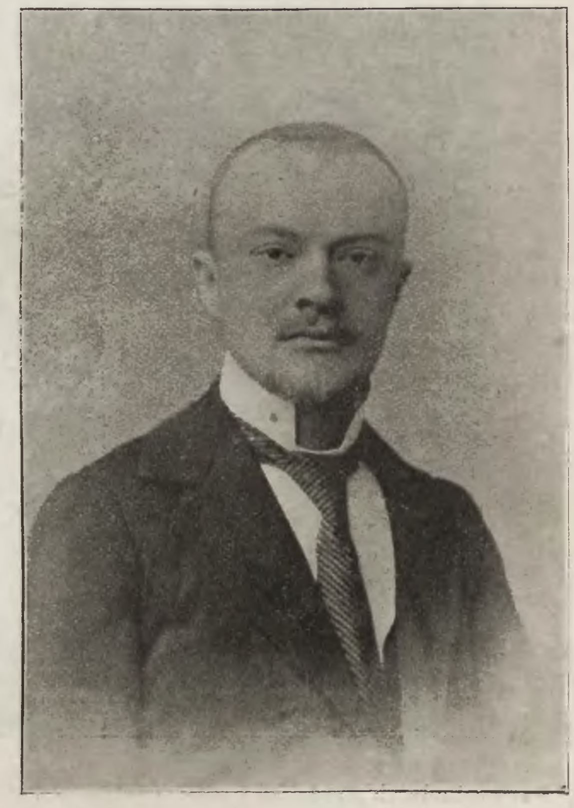
Na tle rozwoju tego Towarzystwa wytworzył się również dzięki zabiegom dr Karcza grunt podatny do samoistnego gniazda Sokolego. Starania jego uwieńczone zostały pomyślnym wynikiem. Właśnie ulepił sobie w Rożniatowie szaropióry Sokół gniazdo, liczące około 50 druhów (w tem zastęp 16 umundurowanych). Kierunek Sokoła spoczął również w szczęśliwych rękach dr Karcza, a jego talent organizacyjny rokuje i temuż Towarzystwu rozwój

Dnia 16 września obchodziło ono uroczyście otwarcie gniazda, a uroczystość ta przybrała tak wielkie rozmiary, iż na długo zachowa ją pamięć mieszkańców. Zleciało się ze 100 dziarskich Sokołów z gniazd: Dolina, Bolechów, Stryj, Skole, Krechowice, Kałusz i Stanisławów.

Pisma codzienne podały szczegółowo przebieg tej uroczystości, dlatego poprzestajemy tylko na podaniu Czytelnikom naszym fotografij, zdjętych w toku tego całodziennego obchodu.

Jubileusz Tow. ogrodniczo-pszczelniczego.

W dziejach galicyjskiego ogrodnictwa i pszczelnictwa, niepoślednią odegrały rolę Towarzystwa zawodowe, zajmujące się temi gałęziami gospodarstwa, a zakładane w rozmaitych czasach przez grona miłujących przyrodę osób. Z Towarzystw tych najdłużej przetrwały dwa, tj. ogrodniczo-sadownicze, założone w 1866 r. i ogrodniczo-pszczelnicze, założone w r. 1870 w Kołomyi, a na nowych, zreorganizowanych oparte podstawach, oraz do Lwowa przeniesione w 1876 r. Oba te najstarsze Towarzystwa zlały się w r. 1890 w jedno zjednoczone galicyjskie Towarzystwo dla ogrodnictwa i pszczelnictwa. Ponieważ zaś w tym roku mija



Jubileusz Tow. ogrod.-pszczelniczego: Sekretarz Teofil Nieger.

trzydzieści lat od chwili przełomowej w dziejach najsilniejszego i najżywotniejszego z Tow. zjednoczonych, tj. Tow. ogrodniczo-pszczelniczego, przeto rok ten uznano za jubileuszowy i dla uświetnienia go, urządzono we Lwowie na placu powystawowym wystawę ogrodniczo-pszczelniczą.

Zjednoczone Tow. dla ogrodnictwa i pszczelnictwa, które obchodzi w tym roku jubileusz, ma jako cel swego istnienia, określony w statucie rozwój i rozpowszechnienie ogrodnictwa i pszczelnictwa. Działalnością swą obejmuje kraj prawie



Na wschodnich kresach: Grupa członków Towarzystwa Szkoły Ludowej w Rożniatowie, założycieli Czytelni Polskiej, z przewodniczącym dr. J. Karczem i jego najdzielniejszymi współpracownikami w sprawie zachowania zagrożonej polskości na kresach, pp. M. Kaznowskim, ks. Fr. Malinowskim, J. Niedźwiedziową, M. Karczową, M. Halkową, L. Konarską K. Brazdilową, M. Komarskim, A. Kowalskim, F. Królem, J. Kordasiewiczem, P. Halibrandem, P. Dąbrowiczem, W. Łozińskim itd.

cały, licząc w swem łonie trzydzieści oddziałów filialnych na prowincyi. Liczba członków wzrosła w ostatnich czasach do imponującej wysokości 1368. Centralny zarząd zjednoczonego Towarzystwa utrzymuje w Woli Kapitańskiej pod Lwowem szkołę ogrodniczo-pszczelniczą, w której kształci się obecnie kilkunastu uczniów. Do szkoły w Woli Kapitańskiej należą cały folwark, ogród warzywny, produkcya nasion i pasieka. Dla rozpowszechnienia fachowych wiadomości z zakresu ogrodnictwa i pszczelnictwa, urządza Towarzystwo corocznie kursy oraz wykłady, albo we Lwowie, albo na prowincyi.

Na czele Towarzystwa stoi jako prezes, od bardzo długiego lat szeregu, dr. Teofil Ciesielski, profesor botaniki na uniwersytecie we Lwowie, zamiłowany całą duszą w ogrodnictwie i zawołany botanik. Nie wchodząc tu w ocenę działalności prof. Ciesielskiego na innych polach — jest on członkiem Rady miejskiej i delegatem jej do Rady szkolnej krajowej — musi się przyznać bez zastrzeżeń, że zasługi jego około rozwoju pszczelnictwa i ogrodnictwa w kraju, w szczególności zaś około rozwoju Towarzystwa, na którego czele stoi, są olbrzymie i niespożyte. Obdarzony nietylko ogromnym zasobem fachowej wiedzy, ale i szczególnem zamiłowaniem przedmiotu, wszystkie siły swe a niejednokrotnie i fundusze obraca na popieranie celów Towarzystwa. Umie też budzić wśród młodzieży zamiłowanie do przyrody i wychowuje całe zastępy oddanych szczerze przedmiotowi nauczycieli. Sekretarzem Tow., jest jeden ze starszych uczniów prof. Ciesielskiego, p. Teofil Nieger, kończący obecnie wydział filozoficzny, a z gorliwością i zapałem pomagający prof. Ciesielskiemu, w jego pracy około Towarzystwa.

Portrety prof. Ciesielskiego i p. Niegera, zamieszczamy w dzisiejszym numerze „Now. Illustrowanych“.



Na wschodnich kresach: Grupa uczestników uroczystego otwarcia gniazda Sokolego w Rożniatowie: 1. Dr. Ignacy Karcz, założyciel i prezes „Sokoła“ w Rożniatowie; 2. M. Komarski, wiceprezes; 3. W. Heinrich, naczelnik; 4. Świątkiewicz, naczelnik okręgu ze Stanisławowa; 5. E. Lorenz, prezes z Doliny; 7. Kosacz, prezes z Kałusza; 8. Szwarz, prezes z Bolechowa.

Zjazd urzędników podatkowych.

Stosunki społeczne tak się w ostatnich czasach ułożyły, że jeno przez wspólne działanie, przez kooperacyę, można osiągnąć np. poprawę bytu całych grup społecznych, a temsamem jednostek. Zrozumieli to nareszcie i urzędnicy podatkowi w Galicyi. Podatkowcy mają bezsprzecznie najcięższą egzystencyę ze wszystkich kategoryj urzędników. Przedewszystkiem trzeba zważyć, że są to ludzie najniewinniej przez ogół znienawidzeni, jedynie dzięki śrubie podatkowej, która tak bardzo wszystkim daje się we znaki. Ogół nie zdaje sobie sprawy, że nienawiść do fiskusa wogóle nie powinna wpływać na wykonawców fiskalnych zarządzeń i z taką samą niechęcią odnosi się do urzędników podatkowych, jak i do idei składania podatku wogóle.

Od urzędników podatkowych wymagają władze nie tylko wykształcenia ogólnego, nie tylko rozległych studyów fachowych, ale wymagają też ciężkiej pracy, trwającej nieraz po 10 godzin dzien-



Jubilеusz Tow. ogrodniczo-pszczelniczego: Prezes Towarzystwa, dr. Teofil Ciesielski, profesor uniwersytetu lwowskiego.



Fot. A. Kübler, Kołomyja.

Zjazd urzędników podatkowych: Uczestnicy okręgowego zjazdu urzędników podatkowych w Kołomyi: 1. Starszy radca skarbu Maksymilian Neumann, 2. radca skarbu Antoni Bier, 3. sekretarz skarbu Gustaw Liebhart, 4. poborca podatkowy Jan Mordarowicz, 5. Kazimierz Łukowski, oficyał podatkowy, gospodarz wiecu; referenci wiecu: 6. oficyał Czernik 7. adjunkt Spät, 8. adjunkt Stadniczenko.

nie, w dodatku pracy wśród zabójczych poprostu warunków hygienicznych. W lokalach ciasnych, w powietrzu przesiąkniętem wyziewami tłumów publiczności, po większej części brudnej, bo najbiedniejszej, wśród ciągłego zgiełku stron, muszą oni siedzieć od rana do nocy, pogrążeni w pracy nad grubemi, zapylonemi księgami, z których każda jest bezdennem morzem cyfr.

Nie dziw więc, że podatkowcy nareszcie zabrali się razem do wspólnej pracy, aby zaradzić wspólnej biedzie, do pracy nad poprawieniem swej doli. Inicyatywę w tym kierunku dało „Towarzystwo galicyjskich urzędników podatkowych“ we Lwowie, cieszące się protektoratem ministra skarbu dr. Korytowskiego. Ono to pchnęło podatkowców do tego, że wszyscy zaczęli się jednoczyć pod sztandarem wspólnych celów. Dziś są to już zastępy karne, świadome swych celów i siły. Że znają siłę, dowodem najlepszym ich liczba: w samej Galicyi jest ich przeszło półtora tysiąca.

Dnia 16 września br. odbyły się we wszystkich większych miastach Austryi wiece urzędników podatkowych, celem zainicyowania walki o poprawę niedoli podatkowców. Wiec taki odbył się i w Kołomyi W dzisiejszym numerze zamieszczamy illustracyę, przedstawiającą grupę uczestników wiecu kołomyjskiego.

Porąbany przez policyanta.

Zdarzył się ubiegłej niedzieli we Lwowie wypadek — nie pierwszy zresztą w tem mieście — iż policyant, pełniący służbę na ulicy, porąbał bezbronnego obywatela, choć ten nie dał mu zupełnie powodu do użycia broni. Przyczyna krwawego zajścia — jak zwykle w podobnych wypadkach — była nad wyraz błaha. Oto młody, 23 letni czeladnik kominiarski Mieczysław Blicharski, wracając wieczorem do domu w stanie nieco podchmielonym, potrącił przypadkiem przechodzącego obok lekarza dr. Schmelkesa. Z tego powodu przyszło między nimi do sprzeczki, a ponieważ dr S. uczuł się obrażonym słowami podchmielonego młodzieńca, wezwał nadchodzących stójkowych, aby go aresztowali. Jeden z policyantów, kapral nr. 220, przystąpił do p. Blicharskiego ze słowami „aresztuję pana“, na co ten zażądał, aby i ów pan, który policyę wezwał, udał się z nim na inspekcyę. Ponieważ policyant wziął p. Blicharskiego za ramię, krewki a nadto podniecony trunkiem młodzieniec, począł policyanta odpychać. W tej chwili nadbiegła na miejsce wypadku matka aresztowanego, p.



Porąbany przez policyanta: Mieczysław Blicharski, ofiara głośnego zajścia z policyantem na Rynku we Lwowie.

Franciszka Blicharska, wdowa po majstrze kominiarskim, z córką i zięciem. Widząc, co się dzieje, ujęła ona policyanta za ramię, mówiąc doń: Panie! ja jestem jego matką i odpowiadam za syna. Na to policyant odtrącił matkę i inne osoby, które obok stały a następnie, choć p. Blicharski zachowywał się od chwili przybycia matki spokojnie, dobył szabli i ciął nią p. Blicharskiego z całej siły w głowę. Zalany krwią młodzieniec padł w ramiona matki, która miała jeszcze tyle siły, aby go, słaniającego się z bólu, podprowadzić na drugą stronę ulicy. Tam jednak widząc ból syna i krwią jego cała zalana, straciła przytomność i padła na trotuar. Sąsiedzi i publiczność, która w tej chwili zebrała się bardzo licznie, odprowadzili ją na bok, aby przyprowadzić ją do przytomności, policyant zaś wywijał szablą dalej, nie chcąc nikogo dopuścić do ranionego. Toż samo uczynili dwaj inni policyanci, którzy w międzyczasie się zbiegli. Widząc zaś ciężką ranę Blicharskiego, zawołali dorożkę, aby odwieźć go na stacyę ratunkową. Do dorożki tej wsiadła — mimo oporu policyantów — i matka rannego, którą już ocucono z omdlenia. Blicharski z bólu na wpół nieprzytomny, zachowywał się w dorożce niespokojnie, wówczas policyant rzucił mu w twarz straszną obelgę, obrażającą jego uczucie synowskie, a na dobitek kopnął go z całej siły w brzuch. Od tej chwili ranny zachowywał się już spokojnie... Stracił przytomność... Pogotowie ratunkowe, po prowizorycznem zaopatrzeniu rany, odwiozło go do szpitala powszechnego.

Stan jego zdrowia jest na szczęście dobry. w każdym razie kilka tygodni potrwa, zanim będzie mógł szpital opuścić.

Wypadek powyżej opisany, opisany zgodnie z prawdą, wywołał w całem mieście ogólne oburzenie, odbił się też echem nie tylko w Radzie miejskiej, ale i w Radzie państwa w formie interpelacyi.

Niestety mało jest nadziei nie tylko, by winnego żołnierza policyjnego spotkała zasłużona kara, ale by publiczność lwowska nie była w przyszłości narażoną na tego rodzaju wybryki policyantów. Żołnierze ci bowiem są zawiśli wyłącznie od władzy wojskowej, która na wypadki podobne patrzy przez palce. Do służby zaś policyjnej przyjmuje materyał nieokrzesany, na niskim stopniu kultury stojący, czemu nie przeczą nawet urzędnicy dyrekcyi policyi. Jak długo tedy będzie trwał ten stosunek, iż żołnierze policyjni nie są zależni od dyrekcyi, tak długo nie można się spodziewać poprawy w tym kierunku.



Porąbany przez policyanta: Scena głośnego zajścia ulicznego we Lwowie, gdzie policyant ciął pałaszem przez głowę czeladnika kominiarskiego M. Blicharskiego.

Ajent policyjny.

Powieść na tle stosunków amerykańskich.

Przełożył z angielskiego Joter.

7

Dokończenie.

— Co to ma znaczyć?! — Hahaha! — To, żeśmy teraz kolegami, pan i ja!

Sina twarz bankiera pokryła się znowu trupią bladością. Przecież to, co ten człowiek mówił, było prawdą, straszliwą prawdą! W tej sekundzie ujrzał przed oczyma cały ciężar i wielkość swej zbrodni. Coby on teraz dał za to, żeby się módz pozbyć na zawsze tego człowieka, który czuł swoją nad nim przewagę i jak się zdawało, miał zamiar wykorzystać ją, o ile się da.

— Ileż pan żąda za to, abyśmy raz na zawsze byli ze sobą pogodzeni — spytał w końcu Robertson.

— Natychmiastowej wypłaty nie tylko przyrzeczonych pięciu tysięcy dolarów, ale dziesięciu tysięcy ponadto.

— Któż mi jednak zaręczy za to, że pan mnie więcej nie będziesz nachodził, jeśli panu teraz zapłacę. Mówię to otwarcie; ja już znam ludzi, takich jak pan.

— Proszę, proszę. Takich jak ja! Pan jesteś taki sam! Ale do rzeczy.

Robertson żachnął się, ale słuchał dalej.

— Jeśli panu chodzi o porękę, to niech będzie nią moja głowa. Ja sam ręczę za siebie.

Robertson wpatrzył się weń przeszywającym wzrokiem.

— Tak jest. Człowiek, mający tyle na karku, co ja, nie zaniedba najmniejszej sposobności do ucieczki. Cóż pan myśli? Dla mnie każdy dzień, każda godzina jest drogą. Albo ja wiem, czy, gdy stąd wyjdę. nie dostanę się odrazu w ręce choćby takiej pani Brown?

— Rozumiem.

— A więc. Niech ja jeno dostanę pieniądze, to czmycham stąd natychmiast, żeby się tutaj już nigdy nie pokazać. Zrobię to w swoim własnym interesie, a to może być dla pana najpewniejszą rękojmią.

— Chwilowo jednak nie mam gotówki więcej, jak trzy tysiące dolarów — ozwał się Robertson.

— Mniejsza o to. W takim razie resztę, to jest siedm tysięcy, zabiorę w papierach — odparł Mac Guire obojętnie.

— No tak, ale... Wolałbym inaczej.

— Mianowicie?

— Niechże pan przyjdzie jutro, a dam panu całą kwotę w gotówce.

— Nie mogę.

— Dlaczego? Przecież przez kilka godzin możesz się pan jeszcze obejść bez pieniędzy.

— Nie mogę, a po drugie nie chcę. Bóg raczy wiedzieć, czy ja jutro nie będę pod kluczem. W naszych stosunkach nie można nigdy nic przewidzieć. Musimy sposobność brać za łeb — ale niema co dużo gadać. Pieniądze muszę dostać w tej chwili, w gotówce czy w papierach — to mi obojętne. Zresztą ja także nie mam żadnej rękojmi, abym panu mógł wierzyć do jutra.

Bankier zaciskał zęby z wściekłości. Widział, że niema dlań wyjścia, postanowił więc przynajmniej jak najprędzej pozbyć się tego człowieka.

— Gdzie pan chce wyjechać? — zapytał, przerywając głuche milczenie.

— Do Brazylii.

Robertson odszedł do przyległego pokoju i zamknął drzwi za sobą.

Mac Guire, a raczej Marya Golling, podeszła ku drzwiom, przez które wyszedł bankier, pochyliła się nad zamkiem i spojrzała w głąb drugiego pokoju. Promień radości rozjaśnił jej oblicze. Naraz wyjęła z kieszeni jakiś specyalnie skonstruowany przyrząd, włożyła go w dziurkę od klucza i zaczęła obserwować przez umieszczone w nim szkła powiększające wszystko to, co działo się za drzwiami.

Po chwili przebrany Szkot schował przyrząd do kieszeni i z tryumfującą miną odszedł w przeciwległy kąt salonu, oczekując spokojnie powrotu bankiera.

Wreszcie drzwi się otworzyły i Robertson wszedł znów do salonu. W ręku trzymał paczkę papierów wartościowych.

— Proszę pana, panie Guire, niechże pan tu przyjdzie bliżej.

Szkot jednym susem znalazł się tuż przy nim.

— Więc jeśli panu wręczę dziesięć tysięcy dolarów, pan opuści natychmiast Nowy Jork?

— Tak jest.

— Przysięgnie mi pan na to?

Szkot wybuchnął głośnym śmiechem.

— Jak gdyby przysięga takiego łotra, jak ja, mogła mieć dla pana jakiekolwiek znaczenie! — rzekł, śmiejąc się ciągle i patrząc bankierowi wyzywająco w oczy.

— Przysięgnij pan, powiadam — krzyknął Robertson.

— Nie przysięgnę!

— To ja panu nie dam pieniędzy!

— Owszem, zatrzymaj je pan dla siebie. Znam mnóstwo rzeczy, za które mi znakomicie zapłacą, jeśli je opowiem na właściwem miejscu. Ale nie wiem, czy to się panu opłaci.

Twarz Robertsona zaczęła drgać z gniewu, ale z poza zaciśniętych warg nie wydarł mu się najmniejszy syk nawet.

— Bierz pan zresztą pieniądze i papiery! Liczę na to, że pan masz powody ku temu, aby czmychnąć z Nowego Jorku jak najprędzej.

Mac Guire wziął papiery, przeliczył je i podziękowawszy, wyszedł.

Służący przeprowadził go przez ogród aż ku bramie wjazdowej, poczem Mac Guire znikł w ciemnościach nocy.

Nie upłynęła jeszcze może nawet godzina, kiedy Marya Golling, zawsze jeszcze przebrana za Mac Guirea, wkradła się z powrotem do willi bankiera. Drzwi pootwierała zapomocą podrobionych kluczów i wytrychów, poczem cichutko przebiegła przez kurytarz, aż doszła do salonu, który przed chwilą opuściła. Otworzyła drzwi także zapomocą wytrychów i stanęła znowu w tem samem miejscu, gdzie przed chwilą wiodła taką ożywioną rozmowę z bankierem.

Drzwi do sypialni Robertsona, to znaczy do przyległego pokoju, z którego bankier przyniósł jej niedawno pieniądze i papiery, stały otworem. Naokół panowała nieprzebita ciemność, spotęgowana jeszcze przez to, że we wszystkich oknach spuszczone były gęste story. Bankier widocznie spał smacznie, kołysany zapewne błogą nadzieją, że pozbył się swego najzaciętszego wroga i niemniej niebezpiecznego sojusznika.

Marya odetchnęła z ulgą.

Zdjęła z nóg trzewiki, potem cicho i ostrożnie podeszła do łóżka, na którem spał Robertson i zarzuciła zręcznie śpiącemu na twarz chusteczkę, napojoną chloroformem. W końcu zapaliła ślepą latarkę i ustawiła ją tak, że światło jej padało w całej pełni wprost na wspaniały, rozciągnięty na podłodze dywan perski.

Marya skierowała teraz całą swą uwagę na ów dywan. Podeszła ku niemu, odsunęła go nieco i wytężywszy wzrok, zaczęła uważnie szukać po pozornie równej parkietowej podłodze. Oczyma jednak nie zdołała widocznie niczego odnaleźć, bo uklękła i białą dłonią zaczęła przesuwać po woskowanych parkietach, aż wreszcie odkryła maleńkie wzniesienie, zaledwie widoczny guzik.

— Więc to tutaj! — szepnęła uradowana.

Pocisnęła guzik końcem nożyka przy scyzoryku i w tej chwili z podłogi podniosła się listwa, odkrywając potajemną skrytkę.

Marya przysunęła bliżej latarkę i błogi uśmiech rozjaśnił jej oblicze, kiedy szepnęła:

— Nareszcie! Nareszcie!

Włożyła rękę w otwór podłogi i wyjęła zeń plik wartościowych papierów. Przyjrzała się im bliżej — były te same, za którymi od tak dawna szukała, narażając przytem niejednokrotnie własne życie na niebezpieczeństwo.

— Henryku! Jesteś uratowany! — szepnęła, przyciskając ręką falującą ze wzruszenia pierś.

Przez kilka chwil klęczała tak na podłodze, w błogiem pogrążona rozmyślaniu. Przed oczyma widziała Wilberta, wychodzącego z więzienia, rzucającego jej się do rąk ze słowami serdecznej, gorącej podzięki za uratowanie życia i honoru. A potem przesunął się znowu czarowny obraz w duszy — zdało jej się, że czuje na szyi ramię Wilberta, że usta jego ust jej dotykają — wzdrygnęła się...

Oprzytomniała.

— Niema czasu do stracenia! — rzekła do siebie, zamykając na nowo skrytkę w podłodze i przykrywając ją dywanem. Papiery schowała starannie do kieszeni, potem zdjęła chusteczkę z twarzy śpiącego i oddaliła się równie cicho, jak była przyszła.

A Robertson spał spokojnie, śniąc zapewne o pieszczotach nadobnej Julii, w której objęciach miał spędzić resztę dni życia w szczęściu i radości, niezamąconej żadną chmurką. Mac Guire — według jego przekonania — nie był już dlań niebezpiecznym, dziewczyna, której się najbardziej obawiał, gniła już zapewne w nurtach wody.

* * *

Ranek wzeszedł blady, jakby w mgłę spowity. Słońce błyszczało poprzez szare chmury niby matowa latarnia, zawieszona wśród oprzędliny pajęczej.

Robertson zbudził się późno. Głowa ciężyła mu kamieniem, oczy, jakby napuchłe, zasłonięte były chmurą senną, że nawet przedmiotów pokoju rozpoznać nie mógł.

Podniósł się, usiadł na łóżku tak ociężały, że nie mógł przejść się nawet po pokoju. I siedział tak, pół śpiąc, pół drzemiąc, aż obudził go hałas i turkot wozów na ulicy.

Podszedł do okna, podniósł storę, przeciągnął się, przetarł oczy i zaczął bezmyślnie wyglądać na ulicę, na której już zaczynał wrzeć codzienny ruch.

Chciał zadzwonić na służącego, ale ręka odmówiła mu posłuszeństwa i opadła bezwładnie. Usiadł więc w wygodnym fotelu i trąc czoło dłonią, szeptał:

— Co to jest? Co mi się stało?

Miał wrażenie, jakby mu kto obuchem dał w głowę. Wszystko kręciło mu się przed oczyma, a mózg gorzał, jakby w nim setki płonących języków się żarło, przeskakiwało z jednego nerwu na drugi, paląc się wzajem i nie dopuszczając do powstania jakiejkolwiek logicznej myśli.

Naraz, jakby piorun w niego uderzył, zerwał się i szybko poszedł na miejsce, gdzie ukrywał swoje skarby. Nerwowym ruchem odsunął dywan, przycisnął znany sobie dobrze guzik, ale zatoczył się, jak pijany, kiedy zobaczył, że w głębi skrytki papierów niema. Przez chwilę dech mu w piersiach zaparło, tak, że był bliski omdlenia, wreszcie odzyskał napowrót przytomność, spojrzał raz jeszcze do skrytki, poczem zerwał się jak oparzony i zaczął biegać po pokoju.

Oczyma duszy poznał dopiero teraz przepaść, w jaką się stoczył, poznał całą grozę i ohydę swego postępku. Czuł teraz doskonale, że jedynym dlań ratunkiem może być jeno śmierć.

Jeżeli złodziej puści te pieniądze w kurs — myślał — to policya, mając tak szczwanych, jak owa pokojówka, ajentów, wcześniej czy później go dostanie w swe ręce. A zbrodniarz nie będzie miał przecie ochoty poświęcać się za niego. W takim razie, cóż jego czekało? Więzienie, hańba, utrata stanowiska i najboleśniejsza dla serca utrata Julii, dla której przecie jedynie stał się sam zbrodniarzem.

Tak go te myśli zajęły, że nie myślał nawet z początku, kto mógł był skraść te papiery. Dopiero kiedy sobie dokładnie przypomniał wszystko, co zaszło poprzedniego wieczora, domyślił się rzeczywistości. Podejrzenie jego padło odrazu na Mac Guire'a.

— Przeklęty Szkot! — zaklął zrozpaczony, poczem znów usiadł na krześle i ukrywszy twarz w dłoniach, zaczął obmyślać środki, w jaki sposób mógłby jeszcze odzyskać pieniądze, choćby nie wszystkie, ale część jakąś.

Nadarmo jednak suszył sobie głowę. Nowego nic nie mógł wymyśleć. Ostatecznie musiał sam sobie przyznać w duchu, że wszystko stracone bezpowrotnie. Jakże złodziej miał się czepiać drugiego złodzieja, jeśli nie chciał wydać siebie samego?

Chciał iść do Julii i jej się o radę zapytać, ale zabrakło mu sił. Siedział więc z godzinę w fotelu bez ruchu, jakby martwy, potem zaczął nagle jak zwaryowany gonić po pokoju, nie mogąc ani nic robić, ani logicznie myśleć.

* * *

Marya Golling, odzyskawszy papiery, w tem przebraniu, w jakiem była, udała się natychmiast do inspektora.

Dyrektor Jung siedział właśnie w swoim gabinecie, rozważając szczegóły jakiejś nowej zbrodni, kiedy nagle usłyszał lekkie pukanie do drzwi.

Trochę zły i niezadowolony z tego, że mu przerwano myśli, zawołał jednak „proszę"! wiedząc, że jeżeli kogo dopuszczono aż do niego, to sprawa musi być już bardzo poważna.

Zdziwił się więc nie mało, kiedy na progu, w drzwiach, zobaczył chudego fircyka, z figlarnie podkręconym wąsikiem, stojącego bez ruchu, jakby jakie półdyable.

— Mac Guire! — zawołał. — Skąd pan się tu wziąłeś?

I dyrektor już trzymał rękę przy dzwonku elektrycznym, chcąc zadzwonić na żołnierza. Wstrzymał się jednak, kiedy w odpowiedzi usłyszał cichym głosem wypowiedziane miękkie słowa:

— Pan dyrektor mnie nie poznaje?

— Panna Marya! No, wie pani, mogę pani przebrania szczerze pogratulować. Miałem już przecie zadzwonić na stróża, aby Mac Guirea stąd wyprowadził. No, no! Niechże pani siada. Dawno pani już u mnie nie była. Z listu pani dowiedziałem się, że Mac Guirea trzeba aresztować. Już to jest wielką zasługą pani, że ten sprytny a chytry rzezimieszek dostał się nareszcie pod klucz. Proszę, niechże pani usiądzie!

Marya zbliżyła się ku niemu, uścisnęła podaną sobie rękę i usiadła naprzeciw niego koło biurka.

— Jakże z papierami? Cóż Robertson?

— Właśnie przyniosłam papiery.

— Co?

Dyrektor Jung zerwał się na równe nogi.

— Wszystkie pani przynosi?

— Wszystkie, z wyjątkiem tych, które zostały sprzedane. Ale tamte przecie skonfiskowano, przyniosę więc wszystkie.

— Pozwoli pani, że wyrażę pani naprzód mój szczery podziw i uznanie, a następnie radość, że właśnie pani przypadło w udziele doprowadzić do końca to trudne i niebezpieczne zadanie, skutkiem czego ma pani już zapewniony byt na stare lata. Cieszę się serdecznie, że pani będzie mogła teraz porzucić znienawidzoną służbę, do której charakter pani nagiąć się nie może, chociaż z drugiej strony żal mi, że pani chce nas opuścić. Tyle pani już dobrego społeczeństwu wyświadczyła, oddając w ręce sprawiedliwości najsprytniejszych rzezimieszków, że, zaiste, mogłaby pani mieć zupełne zadośćuczynienie w uznaniu, jakie panią ze wszystkich stron spotyka. Szkoda pani; na tem stanowisku, na jakiem pani była do dziś dnia, mogła pani dojść bardzo wysoko...

— Ja jednak wolę już zostać zwyczajną sobie śmiertelniczką; ajentką dalej być nie chcę i nie mogę. Mniejsza jednak o to. Co zrobić teraz z tymi papierami?

— Trzeba je oddać Mortonowi i to zaraz rano.

— A któż je ma zanieść?

— Najlepiej, jeśli pani sama to zrobi. Pani przeprowadziła całą rzecz iście po mistrzowsku, pani zasługą jest odnalezienie tych papierów, pani się więc należą najszczersze słowa podzięki ze strony Mortona. Nagroda — jak było umówione poprzednio: dziesięć procent od każdego dolara.

— A trzy tysiące dolarów zaliczki?

— Sądzę, że Morton nie będzie się o nie upominał. Przecież, gdyby nie pani, dzisiaj byłby on już bankrutem.

— Ale jabym nie przyjęła podarunku.

— No, to zależy od pani.

— Ja nawet nie chcę, aby on mi płacił nagrodę według przyrzeczenia. Na tak wysokie honoraryum nie zasłużyłam. Tożby to przecie wyniosło kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

— Tak nisko ceni pani własne życie. Tyle razy je pani narażała, że można powiedzieć, iż cudem chyba wyszła pani cało. Życie, to kosztowna rzecz, nie dająca się ocenić. Niechże więc pani nie krępuje się skrupułami; pieniądze, jakie pani otrzyma od Mortona, będą pani mogły posłużyć za podstawę do stworzenia sobie spokojnego bytu, a wypoczynek słusznie się pani teraz należy.

Rozmawiali jeszcze dłuższą chwilę o rozmaitych rzeczach w sposób serdeczny i przyjacielski. Dopiero kiedy na niebie zaczął szarzeć świt, Marya opuściła kancelaryę dyrektora Junga i przywoławszy dorózkę, kazała się zawieźć do domu.

* * *

Kantor pod firmą Morton i Ska został dopiero niedawno otwarty. Urzędnicy schodzili się jeszcze do biur i dopiero zasiadali przy swoich pultach.

Morton siedział w swojej kancelaryi i zatopiwszy wzrok w żelazną kasę, niedaleko jego biurka stojącą, pogrążył się w niewesołych myślach. Na czole jego, pofałdowanem zmarszczkami, rozsiadł się ponury cień, a w oczach błyszczały ognie zdenerwowania i rozpaczy.

W tej chwili wszedł służący i oznajmił, że pani Brown czeka w przedpokoju.

— Pani Brown?! — zawołał starowina i zerwał się z krzesła, a podchodząc ku drzwiom i uchylając je, rzekł:

— Proszę, niechże pani wejdzie! Proszę bardzo!

Pani Brown, raczej Marya Golling, weszła pokaszlując do gabinetu. Oczyma wskazała na służącego, a kiedy Morton kazał mu wyjść, usiadła i ozwała się swoim miękkim, łagodnym głosem, który brzmiał już zupełnie inaczej, aniżeli głos pani Brown, rzekła lakonicznie:

— Przynoszę panu skradzione papiery wartościowe.

— Pani przynosi papiery?! — zawołał Morton, odchodząc prawie od zmysłów.

— Tak jest — odparła krótko Marya.

I mówiąc to, położyła na biurku plik obligacyj, które Morton skwapliwie przeglądnął i schował do kasy.

— Więc Wilbert się przyznał? — zapytał, odchychając z ulgą.



....Robertson siedział bez ruchu na krześle nad otwartą w podłodze skrytką. Morton poszedł ku niemu i wziął go za rękę—ale ręka ta była zimna jak lód. Grzegorz Robertson już nie żył....

Uśmiech okrasił małe usta Maryi.

— Widocznie pani chowa dla mnie jakąś nową niespodziankę — zapytał Morton, drżąc z ciekawości.

— Tak, i to, niestety, prawdziwą i przykrą dla pana niespodziankę.

— Słucham pani!

— Proszę mi tylko nie przerywać. Opowiem całą rzecz od początku.

I Marya opowiedziała słuchającemu z napięciem Mortonowi wszystko, co zaszło od tej chwili, kiedy jej sprawę oddano.

Ciężki to był cios dla starego bankiera, gdy się dowiedział, jak okropnie podszedł go ten, którego on z biedaka zrobił współwłaścicielem pierwszorzędnej firmy bankierskiej w Nowym Jorku.

Właśnie też renoma firmy wymagała, aby całą sprawę zatuszować. Zrobiłoby to bowiem firmie niesłychanie wielką szkodę, gdyby się ogół dowiedział, że jeden z szefów dopuścił się kolosalnej defraudacyi. Morton od zmysłów prawie odchodził. W głowie czuł zawrót, jakby mu kto mózg wyjął z czaszki. Trzeba było natychmiast przedsięwziąć kroki, aby złemu zapobiedz. Przedewszystkiem należało natychmiast udać się do Robertsona.

— Może pani zechce pojechać ze mną do Robertsona? — zapytał.

— Z przyjemnością.

Zajechali przed znaną już Czytelnikom willę. Przy bramie służący oznajmił im, że pan jeszcze się nie pokazał od wczoraj; zaznaczył przytem, że do sypialni nie wolno wejść żadnemu służącemu, dopóki „jaśnie pan“ nie zadzwoni.

Morton jednakże nie dał się tem powstrzymać. Nie zważając na opór służącego, wszedł do willi i udał się wraz z Maryą do sypialni swego wspólnika.

Stanąwszy na progu, poczęli się rozglądać naokół. Dziwny widok uderzył ich oczy.

Robertson siedział bez ruchu na krześle nad otwartą w podłodze skrytką.

Morton podszedł ku niemu i wziął go za rękę. Ale ręka ta była zimna, jak lód.

Grzegorz Robertson już nie żył.

* * *

Henrykowi Wilbertowi przypadło w udziale najpiękniejsze zadośćuczynienie. Naturalnie, po śmierci Robertsona wypuszczono go natychmiast z więzienia, a stary Morton, nie mając ani żony, ani dzieci, poprosił go, aby mu dopomógł w dźwiganiu trudów, jakich wymagało prowadzenie firmy. Henryk Wilbert zajął w banku miejsce Grzegorza Robertsona, za którego tyle wycierpiał, tyle doznał hańby i upokorzenia.

Zostawszy z ubogiego buchaltera współwłaścicielem znakomicie rentującego się banku, miałże Henryk zapomnieć o tej, która jego od hańby, a starą Wilbertową od nędzy uchroniła? Jej przecie zawdzięczał wszystko i nieskalany honor i majątek, a nawet życie. Przytem nie mógł pozostać głuchym na głos serca. Czuł, że dla tej nieznajomej, w duszy jego goreje nie tylko wdzięczność, ale jakieś wyższe, jaśniejsze jeszcze i silniejsze uczucie.

Udał się więc na policyę do dyrektora Junga, który mu wskazał adres Maryi. Odnalezienie jej nie było już dlań rzeczą trudną.

A kiedy spojrzał w jasne oczy Maryi, płonące pogodą i szczęściem jak owe habry polne, przekonał się, że miłość, jaka płonęła w jego sercu, znalazła oddźwięk wzajemny i w jej duszy.

Jakżeż promieniała szczęściem milutka twarzyczka Maryi, mając już to szczęście, do którego od tak dawna tęskniła, ta prześliczna, pogodna twarzyczka, która zdołała zachować na sobie znamię czystości, chociaż w zawodzie swym musiała była poznać i przedzierać się przez cały brud i nędzę życia. I nieraz później, kiedy siedząc u boku Henryka, bawiła się dziecięciem, jakiem niebo pobłogosławiło ich małżeństwo, wspominała jeszcze o tych czasach, kiedy to jako tajna ajentka musiała patrzeć na całą ohydę życia i świata.

Julia Harrington skończyła tak, jak zwykle kończą tego rodzaju kobiety. W dniu śmierci Robertsona wypłacił jej Morton pokaźną sumę pod warunkiem, że będzie milczeć o wszystkiem i natychmiast opuści Nowy Jork. Wyjechała więc z Karolem do Paryża, gdzie jeszcze przez parę lat bawiła się wesoło, aby potem, więdnąc coraz bardziej, upaść na samo dno brudu i nędzy.

Karol Harrington skończył w jednem z paryskich więzień.

KONIEC.



Schwytanie bandytów.

Przed tygodniem zillustrowaliśmy głośną sprawę morderstwa w Lipniku pod Białą. gdzie podczas aresztowania dwóch bandytów, jeden z nich, uciekając, strzałem z browninga zranił śmiertelnie policyanta Dietricha, przyczem druga kula przypadkiem trafiła górala Hojdysa z pod Żywca. Obaj ranni umarli nazajutrz w szpitalu w Białej, a tymczasem wskutek rozesłanych po wypadku listów gończych, policya zaczęła gorliwe poszukiwania. A wzięto się do tej sprawy pilnie tembardziej, ile że prawie jednocześnie i Oświęcim stał się widownią śmiałej kradzieży z włamaniem, dokonanej w Rynku. Oto nocą wdarli się nieznani sprawcy przez zakratowane okno do drogueryi Romana Mayzla, położonej w Rynku oświęcimskim, tuż obok gmachu urzędu gminnego. Prócz nieznacznej gotówki, zamkniętej w kasie podręcznej w sklepie, unieśli złodzieje z sobą strzelbę myśliwską, wartości 300 koron. W ciągu dochodzeń dowiedziano się, że w pobliskiej wsi Bielanach, pewien wieśniak, złodziej notoryczny, sprzedawał strzelbę z futerałem za sześć koron. Inspektor policyi miejskiej, Bielecki, wydelegował więc rano jednego z najsprytniejszych policyantów, Franciszka Zygmunta, który przybrał sobie do pomocy żandarma. Po nader żmudnem śledztwie, udało im się wreszcie dotrzeć do kryjówki złoczyńców: w szopie w Grojcu pod Oświęcimiem, wypoczywali obaj bandyci. Na widok policyanta i żandarma, jeden z nich sięgnął po rewolwer, lecz w mgnieniu oka obaj zostali ubezwładnieni i aresztowani. W urzędzie gminnym, dokąd ich wraz z łupem sprowadzono, spostrzeżono przy badaniu na głowie jednego z bandytów, świeżą jeszcze bliznę, jakgdyby od cięcia pałaszem. Zamęczani pytaniami, przyciśnięci do muru, przyznali się do napadu rabunkowego w Białej i podali, że uciekając przed policyantem, strzelali kilka razy, przyczem jeden z nich odniósł ranę. Z ich opowiadania dopiero dowiedziano się, że kula żandarma świsnęła im obu koło głowy, a nadto że podczas pościgu, ukryci za krzakiem, schronili się przed żandarmem tak zręcznie, iż ten minął ich, niepostrzeżonych w ciemności. Z bezczelnym cynizmem oświadczyli, iż „żandarma lub policyanta zastrzelić, nie jest wcale grzechem“.

Jednym ze zbrodniarzy, jest 23-letni Józef Wywiał (false Dziedzic) ze Zakrzówka, dobrze już znany krakowskiej policyi; drugi, 24-letni Jędrzej Kurek z Bielan pod Oświęcimiem, karany już był za kradzież 2 letniem więzieniem w Wiśniczu. Po odfotografowaniu bandytów, (których podobiznę widzą tu Czytelnicy), odstawiono ich w kajdankach pod eskortą 3 żandarmów do sądu obwodowego w Wadowicach.

— Robiliśmy kiepskie interesy — wyraził się przy zeznaniach Kurek — w kasach wszędzie pustki, dla kilku marnych guldenów, nie warto nawet było tak ciężko pracować!...



Schwytanie bandytów: Echa głośnego morderstwa w Białej: aresztowani pod Oświęcimiem niebezpieczni bandyci, sprawcy licznych kradzieży: niższy Kurek (morderca policyanta Dietricha i górala Hojdysa), wyższy Wywiał; po bokach policyant Zygmunt (na ramieniu ma skradzioną przez nich strzelbę) i żandarm Hupałowski, którzy obu ujęli.

Przeciw obcym wyrobom.

Wydział krajowy, dbały o podniesienie naszego przemysłu, zwrócił w ostatnich latach bardzo słusznie szczególną uwagę na nasze szewstwo i krawiectwo. Chcąc zaś obydwa te rzemiosła doprowadzić do stopnia, umożliwiającego krajowym rzemieślnikom skuteczną konkurencyę z produkcyą obcą, urządza rok rocznie, w coraz to innem mieście wędrowne kursa, trwające zazwyczaj po dwa miesiące.

Na kursach tych nasi szewcy i krawcy otrzymują wykształcenie, uzupełniające ich fachową wiedzę, wyuczają się bowiem kroju według najnowszych wymogów, a także zapoznają się z anatomią w tym stopniu, o ile tego potrzeba do ich zawodu, co następnie wpływa nader dodatnio na dane wyroby, przez odpowiednie branie miary przez rzemieślnika na obuwie, czy na ubranie.

Z przyjemnością zaznaczyć należy, iż publiczność nasza, mimo usilnej konkurencyi obcych towarów, nie dość jeszcze u nas bojkotowanych, zaczyna powoli nabierać przekonania, iż swojscy rzemieślnicy potrafią stanąć na wysokości swego zadania.

W ostatnim czasie urządził Wydział krajowy kurs szewski w Tarnowie. Wzięło w nim udział z wielkim pożytkiem szesnastu uczniów.

Illustracya nasza przedstawia właśnie wystawę robót uczestników tego kursu, urządzoną po jego ukończeniu. Kurs prowadzony był pod kierownictwem p. Wejersa, którego firma znaną jest dobrze w Krakowie z dobrych wyrobów szewskich.

Różnorodnych maszyn, bez których dziś szewstwo wzorowe istniećby nie mogło, dostarczyła na żądanie Wydziału krajowego popularna w kraju firma Singera (Tow. akc. maszyn do szycia).



Fot. T. Mroczkowski, Tarnów.

Przeciw obcym wyrobom: Wystawa prac uczniów majsterskiego kursu szewstwa, urządzonego w Tarnowie przez Wydział krajowy; warstat maszynowy urządzony przez firmę „Singera Co. Tow. akc. maszyn do szycia“.

Obrońca hellenizmu na czele Krety.

Na wyspie Krecie pojawiła się proklamacya dotychczasowego naczelnego jej komisarza, księcia Jerzego, która brzmi jak następuje:

„Kreteńczycy! Ogłoszone oświadczenie państw opiekuńczych przyznaje królowi Grecyi prawo, aby w przyszłości czynił propozycye do mianowania naczelnego komisarza Krety. Przyznanie to zbliża



Obrońca hellenizmu na czele Krety: Wybitny patryota grecki, deputowany i były minister, Aleksander Zaïmis, który został na propozycyę króla Hellenów mianowany naczelnym komisarzem Krety w miejsce księcia Jerzego.

nas do ostatecznego, a tak upragnionego załatwienia sprawy kreteńskiej. Dozwala mi ono, abym w porozumieniu z królem i w myśl jego instrukcyj opuścił wyspę z czystem sumieniem, gdyż spełniłem swoją powinność wiernie wobec ojczyzny i z sercem pełnem nadziei, że w niedalekiej przyszłości, zawita dzień, w którym upragnione nasze życzenia spełnią się całkowicie. Jestem przekonany, iż przesiąknięci szczerym i prawdziwym patryotyzmem, pojmiecie pobudki, jakie mnie skłoniły do opuszczenia wyspy i że uszanujecie lojalnie wolę czterech państw opiekuńczych“.

W ten sposób zakończył się ważny rozdział historyi Krety. Z wyjazdem ks. Jerzego nie spełniły się te nadzieje, jakie przywiązywano do jego rządów. Państwa opiekuńcze sądziły że na wyspie nastąpi nowa era spokoju i rozwoju Krety, sądziły, że Kreteńczycy przestaną domagać się przyłączenia do Grecyi, z tego względu, że dano im księcia greckiego, z władzą prawie królewską. A z tego faktu wnosić mogli, że oficyalne przyłączenie Krety do Grecyi, nie przedstawi żadnych trudności skoro tylko polityczne wypadki na to pozwolą. Ale Kreteńczycy nie chcieli czekać cierpliwie. Ekonomiczne stosunki wyspy stawały się nadto coraz trudniejsze, a ciała ustawodawcze przestały funkcyonować, stając się tylko widownią demonstracyi przeciw państwom opiekuńczym.

Książę Jerzy oświadczył wreszcie, iż stosunki na Krecie zmuszają go do ustąpienia. Państwa opiekuńcze: Anglia, Francya, Włochy i Rosya, które uzyskać miały pozwolenie Austro-Węgier i Niemiec, nie chciały się zgodzić na żadną terytoryalną zmianę Krety, aby utrzymać jak najdłużej „status quo“ rzekomej władzy zwierzchniczej sułtana. Po długich dyplomatycznych rokowaniach zgodzono się wreszcie na przyznanie królowi greckiemu prawa wyboru naczelnego komisarza Krety. W ten sposób stało się częściowo zadość domaganiom się Krety, która stała się faktycznie prowincyą z własnem prawem samorządu. Porta protestowała przeciw temu u mocarsw, lecz nadaremnie. Kreta nie jest bowiem oficyalnie przyłączoną do Grecyi, rozpoczyna się tylko dla niej nowy rozdział historyi, który będzie może szczęśliwszy od poprzednich.

Na czele Krety staje dzielny obrońca hellenizmu, znany poseł grecki Aleksander Zaïmis, jego bowiem król grecki zaproponował na naczelnego komisarza Krety, a reprezentanci państw opiekuńczych przyjęli tę propozycyę, wobec czego nowomianowany dygnitarz opuścił swą willę na Aeginie i statkiem pancernym „Psara“ udał się na Kretę, którą opuścił ks. Jerzy.

Aleksander Zaïmis urodzony w r. 1855, odbył studya uniwersyteckie w Atenach, Lipsku, Berlinie, Heidelbergu i Paryżu. Posłem wybrano go już w r. 1879. Stanął rychło na czele własnego stronnictwa politycznego patryotów greckich. Był następnie prezydentem Izby, potem senatu, aż po upadku Delyannisa i dymisyi Rallisa został ministrem spraw zagranicznych. Dwukrotnie stał na czele gabinetu, zatrzymując tekę spraw zewnętrznych. W Izbie zdobył sobie przydomek „milczka“, zabierał bowiem głos wtedy tylko, gdy tego wymagała konieczność. Teraz prasa debatuje nad tem, czy ma on złożyć mandat poselski i co stanie się z jego stronnictwem zaïmistów. Żywo interesują się w Grecyi tem, kto mu będzie towarzyszył do Kanei. Zaraz bowiem u wstępu na nowe stanowisko, dał się nowy komisarz Krety oplątać nepotyzmowi: całe jego otoczenie, to sami krewniacy lub powinowaci przyszłego wielkorządcy, a conajmniej jego stronnicy polityczni.

Zmiany w dyplomacyi.

Zmiana, jaka zaszła na stanowisku ambasadora Austro-Węgier w Konstantynopolu, jest bardzo doniosła. Stanowisko to dla polityki monarchii bardzo ważne, jest równocześnie bardzo trudne, zwłaszcza, gdy objąć je trzeba po tak wytrawnym dyplomacie, jakim był baron, obecnie hrabia Calice. Ten nad Złotym Rogiem przebył długi szereg lat i znał na wylot wszystkie ścieżki i ścieżynki, główne oraz tylne i boczne schody, któremi chadza



Zmiany w dyplomacyi: Austro-węgierski poseł i upełnomocniony minister w Kairze, hrabia Tadeusz Bolesta Koziebrodzki, który ma zająć w Bukareszcie stanowisko marg. Pallaviciniego, następcy hr. Calice w Konstantynopolu.

dyplomacya turecka. Stanowisko po hr. Calice dostało się jednak bardzo dzielnemu dyplomacie, margrabiemu Pallavicini, który już z Bukaresztu miał sposobność studyować arkana polityki i dyplomacyi europejskiego Wschodu. Na następcę zaś



Fot. dla „Now. Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis.

Niezwykły proces sądowy: Rozprawa między prof. drem O. Bujwidem a Zygmuntem Klemensiewiczem przed krakowskim sądem przysięgłych: grupa członków trybunału w pierwszym dniu rozprawy: 1. przewodniczący radca Trzaskowski; 2. wotant radca Grodyński; 3. wotant adjunkt Nowotny; 4. protokolant; 5. zastępca oskarżyciela dr. Gertler; 6. oskarżyciel prywatny dr. Bujwid.

dotychczasowego przedstawiciela monarchii w stolicy Rumunii, wybrano również tęgiego dyplomatę, a rodaka naszego Jest nim obecny poseł austro-węgierski i upełnomocniony minister w Kairze, hr. Tadeusz Bolesta Koziebrodzki (jego portret str. 13). Kolonia austro-węgierska w Kairze straci swego najlepszego opiekuna z chwilą, gdy hrabia-minister ze stolicy Egiptu, przeniesie się do Bukaresztu. Cieszył się tam bowiem niezwykłą sympatyą z tego względu zwłaszcza, że nie robił różnic pod względem narodowości wśród licznych kolonistów z monarchii tak wielojęzycznej, jak Austro-Węgry.

Śmierć w więzieniu.

W tych dniach doniosły dzienniki, że w więzieniu w Wiśniczu zmarł Stanisław Barko, skazany na 3 i pół roku więzienia we wrześniu 1904 roku, w słynnym procesie o półmilionową defraudacyę w krakowskiem Tow. kredytowem rękodzielników i przemysłowców.

Czytelnicy pamiętają jeszcze zapewne przebieg tego procesu, który w całym Krakowie, a nawet w całym kraju niemałą wywołał sensacyę. Oskarżonymi byli: Maksymilian Müller, naczelnik Tow. kredytowego, Bolesław Walla, kasyer, oraz kupiec Stan. Barko. Zrazu dziwiono się, co też za związek mógł mieć ten kupiec z kasą rękodzielników i przemysłowców? Tymczasem okazało się, że właśnie on był tą sprężyną, która pchnęła innych w objęcia zbrodni. Barko — którego portret zamieszczamy obok — był szwagrem Müllera. On to namówił nierozważnego naczelnika do tego, że Müller zaczął defraudować, udzielając skradzionych pieniędzy Barce na prowadzenie handlu. Ale Barko był utracyuszem i hulaką — o interesach nie myślał, jeno brał ciągle pieniądze od Müllera, który przez niego coraz bardziej brnął w bagnie. Barko przyrzekał zresztą Müllerowi, że sam sobie życie odbierze, jeśli nie umrze prędko, czego się, sądząc po złym na pozór stanie zdrowia, spodziewał. A śmierć jego byłaby pokryła całą defraudacyę, bo Müller zaasekurował Barkę na wysokie sumy. Tymczasem Barko był zdrów jak ryba, życia sobie odbierać nie miał ochoty, zwlekał więc „ze śmiercią“, aż defraudacye wykryto i wszystkich aresztowano. Barko został skazany i odesłany do Wiśnicza.

Kary nie odpokutował. Śmierć, która przed trzema laty np. byłaby dla niego i dla Müllera wybawieniem, przyszła za późno, bo zabrała go w więzieniu wiśnickiem. Przed zgonem miał podobno Barko poprosić, aby doń przywołano Müllera. Prośbie uczyniono zadość. Konający przez dłuższy czas rozmawiał z Müllerem, którego niedoli po części on sam był przyczyną, poczem wyzionął ducha.



Śmierć w więzieniu: Niegdyś kupiec krakowski, Stanisław Barko, który przed tygodniem zmarł w Wiśniczu, odsiadując karę 3 i pół roku więzienia, skazany przed 2 laty w głośnym procesie o półmilionową defraudacyę.

Pogrzeb w Peterhofie.

Natychmiast po nagłej śmierci wszechwładnego do niedawna komendanta pałaców cesarskich w Peterhofie, generała Trepowa, zamieściliśmy dobry jego portret i poświęciliśmy obszerniejszą wzmiankę charakterystyce umierającego niemal w niełasce najzaufańszego przedtem dworaka. Dziś, jako echo tego zgonu, który tyle komentarzy wywołał w opinii publicznej całego świata, podajemy jeszcze dobrą fotografię, przedstawiającą najcharakterystyczniejszy moment uroczystości pogrzebowych, kiedy pierwsi dygnitarze wojskowi i dworscy niosą trumnę ze zwłokami generała Trepowa. Na przedzie między nimi, lewą ręką podtrzymując trumnę, kroczy generał Dediulin, następca zmarłego, nowomianowany komendant pałaców i dowódca przybocznej straży cesarskiej.

Kto będzie rządził w Brunświku?

Z powodu świeżej śmierci ks. Albrechta pruskiego, który sprawował rejencyę w księstwie Brunświckiem, stała się aktualną i piekącą nawet sprawa następstwa tronu w Brunświku.

Brunświk (Braunschweig), księstwo w Niemczech północnych, należące do cesarstwa Niemieckiego, składa się z dwu głównych części, księstw Wolfenbüttel i Blankenburg, nie licząc kilku małych cząstek, a ograniczone jest ze wszech stron Prusami, głównie prowincyami saską i hanowerską. Księstwo to konstytucyjne ma tron podług praw starszeństwa sukcesyjny w prostej linii męskiej domu Brunświk-Wolfenbüttel. Podczas wojny prusko-austryackiej w r. 1866, jakkolwiek Brunświk zapóźno dostarczył Prusom swego kontyngensu, zachował przecież samodzielność polityczną i wszedł do Związku północno-niemieckiego, a w 1871 w skład cesarstwa, mając w Radzie Związkowej 2 głosy, a w parlamencie trzech deputowanych. Panujący książę Wilhelm był nieżonaty, więc podług praw familijnych, księstwo powinno przejść do familii domu Hanowerskiego, przeciw czemu agitował zawczasu rząd pruski.

Wilhelm zmarł w r. 1884; na nim, jako na ostatnim potomku domu brunświcko-lüneburskiego, wygasła starsza linia Welfów. Następstwo tronu należało do żyjącego w Austryi księcia Kumberlandzkiego Ernesta Augusta, syna ostatniego króla Hanoweru, zdetronizowanego Jerzego V. Ponieważ jednak książę Kumberlandzki nie uznawał stosunków państwowych cesarstwa niemieckiego, nie dopuszczono do objęcia spadku prawowitego sukcesora, lecz utworzono Radę regencyjną i prawa spadkowe przekazano na najbliższego agnata, ks.



Pogrzeb w Peterhofie: Wysocy dygnitarze wojskowi i dworscy niosą trumnę ze zwłokami komendanta pałaców cesarskich, generała Trepowa; na ich czele kroczy, podtrzymując lewą ręką trumnę, generał Dediulin, następca Trepowa.

Cambridge, który wszakże korzystać z nich nie chciał. Tu trzeba przypomnieć, że po wojnie z Austryą, zagarnęły Prusy królestwo hanowerskie, wydziedziczywszy prawowitego króla. Dynastya zaś hanowerska była spokrewnioną z książętami brunświckimi. To też Ernest August byłby mógł po śmierci bezpotomnej Wilhelma, objąć rządy w księstwie brunświckiem, jedynie po zrzeczeniu



Kto będzie rządził w Brunświku: Książę Ernest August Kumberlandzki, syn ostatniego króla Hanoweru, a prawowity dziedzic tronu brunświckiego.

się praw do tronu hanowerskiego, a tego uczynić on nie chciał. I dlatego Rada regencyjna w Brunświku musiała wybrać regenta. Pod naciskiem Prus wybór padł na Albrechta pruskiego, (urodzonego w r. 1837, najstarszego syna księcia Albrechta, młodszego brata cesarza Wilhelma I.). Nowy rejent sprawował tylko nominalnie ten urząd, bo wiedząc, że ród Hohenzollernów jest znienawidzony w Brunświku, pokazywał się ks. Albrecht rzadko w tem księstwie. Umarł też nie w Brunświku, lecz we własnych dobrach w Kamienicy na Górnym Śląsku. Śmierć jego nagła (udar apoplektyczny), zaostrzyła naraz kwestyę sukcesyi brunświckiej. Dla jej rozstrzygnięcia zwołano sejm w Brunświku. Pisma welfickie wzywają księcia Ernesta Augusta Kumberlandzkiego, aby albo sam objął tron niezwłocznie, albo też aby przelał swe prawa na najstarszego, 26-letniego syna swego, ks. Jerzego Wilhelma, który służy w tej chwili jako kapitan w 42-im austryackim pułku piechoty imienia swego ojca. (Właśnie w austryackim mundurze widzą go Czytelnicy na fotografii, którą tu zamieszczamy wraz z portretem jego ojca, jako podobizny dwóch uprawnionych do tronu w Brunświku książąt). Ponieważ ani książę Cumberland ani jego syn, nie zamierzają zrzec się dziś swych praw do tronu królestwa Hanoweru, a zrzeczenie to jest kardynalnym warunkiem do dziedzictwa księstwa brunświckiego, przeto należy się spodziewać, że Brunświk otrzyma znowu regenta, narzuconego przez Prusy.

Tragedya w szantanie.

W tych dniach w teatrzyku „Alexandrine" w Warszawie rozegrała się tragedya miłosna. Po przedstawieniu padły strzały na korytarzu obok gabinetów i pod lustrem runęły na chodnik dwa ciała. Z kałuży krwi podniesiono jednę z występujących u Aleksandryny artystek międzynarodowej trupy „Luri", piękną Basię, Warszawiankę 21-letnią, Barbarę Szypowską, oraz jej mordercę a niedoszłego samobójcę, podmajstrzego z garbarni Horna na Woli, 22 letniego Ludwika Dybikowskiego. Przed pięciu laty zbliżył się on do niej, gdy była skromną szwaczką w jednym z większych magazynów warszawskich. Poprzysięgli sobie nawzajem miłość dozgonną. Wówczas Basia widziała szczęście w wyjściu za mąż za uczciwego robotnika. Ale rychło uległa namowom pewnej megiery i w sekrecie przed narzeczonym puściła się na śliską drogę, na której pracownia krawiecka była już w dalszym ciągu tylko parawanem jej występków. Półtora roku temu Basia zniknęła z Warszawy. Zapragnęła zakosztować laurów szantanowych i przez kilkanaście miesięcy tułała się z trupą baletową „Luri" po Mińsku, Wilnie, Moskwie. Wreszcie zjawiła się u Aleksandryny w Warszawie. Koledzy dali znać o tem Ludwikowi. Poszedł na przedstawienie i przekonał się naocznie że baletniczką szantanową jest jego Basia. Udał się do niej. Nie miała czasu dla niego. Kazała mu przyjść w niedzielę. Przyszedł, ale z rewolwerem „Już cię nie kocham" – oświadczyła mu Basia. „Nie będziesz kochać nikogo" — zawołał gość w bluzie robotniczej i sięgnął po rewolwer. Strzał



Kto będzie rządził w Brunświku: Oficer austryacki Jerzy Wilhelm książę Kumberlandzki, syn księcia Ernesta Augusta, jedyny po ojcu prawy sukcesor tronu brunświckiego

rozległ się w kieszeni, kula zraniła go w nogę. Mimo to wyjął broń i dwoma strzałami ranił ją w piersi... Umarła w bramie szpitala. Czwartym strzałem we własne usta chciał się Dybikowski sam zabić, ale rany jego nie zagrażają życiu.



Fot. dla „Now. Illustr." M. Münz we Lwowie.

Jubileusz Towarzystwa ogrodniczo-pszczelniczego: Włościanie z powiatu trembowelskiego, zwiedzają wystawę jubileuszową Towarzystwa ogrodniczo-pszczelniczego we Lwowie: 1. Hr. Baworowski, 2. inspektor Janicki, 3. komisarz Kudelski, 4. ks. Burzyński, 5. profesor Ciesielski.

Odkrycie fałszywej mennicy.

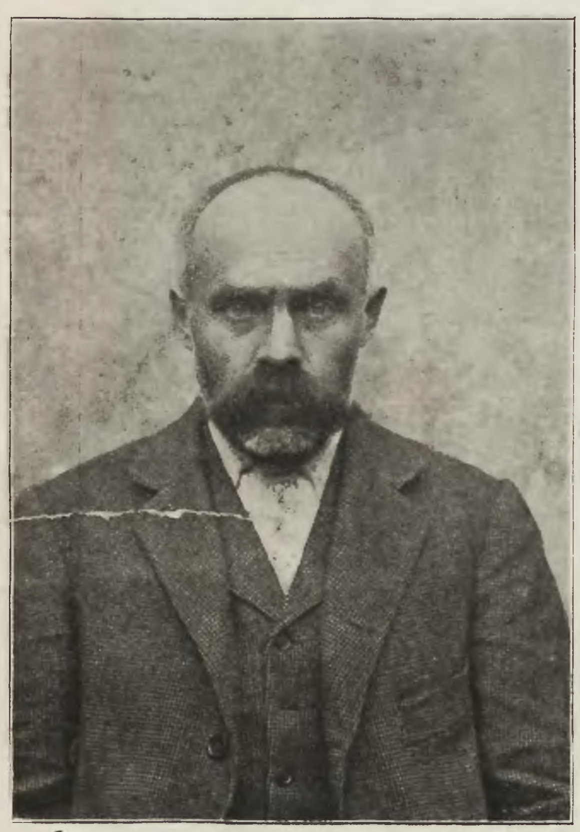
Ładnie spisuje się policya krakowska — woła teraz co parę dni publiczność, zadowolona, że przestaje ją trapić zmora. Ostatnie bowiem wypadki rozbojów w Galicyi przejęły wszystkich obawą, iż gotowiśmy tu wkrótce nie być ani chwili pewnymi własnego mienia — na wzór biednych Królewiaków. Tymczasem ajenci policyi krakowskiej



Fot. W. Lis.
Odkrycie fałszywej mennicy: Aresztowany fabrykant 5-koronówek, Antoni Niwelt.

wyłapują jednego po drugim najniebezpieczniejszych rzezimieszków, pod kluczem zamykają całe bandy zbójów, którzy włamywali się to tu, to tam do kas ogniotrwałych....

Aż wreszcie powiodło się znowu temu samemu inspektorowi Mohrowi, który pojmał świeżo Smólskiego i Sumińskiego, odkryć fałszywą mennicę. Już od dłuższego czasu pojawiały się na naszych rynkach fałszywe pieniądze, pochodzące z jednej fabryki. Oto niejaki Antoni Niwelt z Czech, bawiący bez zajęcia w Krakowie, do spółki z Eugeniuszem Danielewskim, założyli potajemną mennicę dla wyrobu 5-koronówek, naprzód w Sanoku, potem we wsi Męcinku koło Jedlicz. Właśnie w tej wiosce na gorącym uczynku zastał inspektor Mohr fałszerzy monety. Byli przy pracy, więc odrazu wpadł w ręce policyi cały warstat sekretny.



Fot. W. Lis.
Odkrycie fałszywej mennicy: Aresztowany Aleksander Stabryła, który puszczał w obieg fałszywe 5-koronówki z fabryki Niwelta.

Aresztowano obu na miejscu, a wraz z nimi i dwóch ptaszków jeszcze: Stabryłę i Chmielowskiego, którzy puszczali falsyfikaty w obieg po Krakowie. Dziś wszyscy czterej znajdują się pod „telegrafem“ — a oto ich podobizny.

Redaktorowie na wygnaniu.

Represye prasowe w Warszawie nie kończą się już na samem zawieszeniu pisma, ale coraz częściej zdarza się, że redaktorom, których pobyt na miejscu staje się niedogodnym dla władz naczelnych, nakazują one bezzwłocznie opuścić Królestwo i wyjechać za granicę. Taki los spotkał w ostatnim czasie dwóch najbardziej znanych redaktorów pism humorystycznych, którzy od roku uprawiali zawzięcie satyrę polityczną i społeczną, odkąd tygodniki tego rodzaju, pozbawione więzów dawnej cenzury uprzedniej, rozpleniły się na gruncie warszawskim w niesłychanych rozmiarach. Portrety obu deportowanych humorystów zamieszczamy dzisiaj z okazyi ich chwilowego acz niedobrowolnego osiedlenia się w Krakowie. Obu Warszawa zna doskonale. Jeden, to Władysław Buchner, redaktor zawieszonej „Muchy“; drugi — Antoni Orłowski (Krogulec), redaktor zawieszonej „Kukułki“, a zarazem popularnego czasopisma podróżniczego „Naokoło świata“. Z rozporządzenia generał-gubernatora warszawskiego kazano im obu wyjechać z granic Królestwa.



Tragedya w szantanie: 21-letnia Warszawianka Barbara Szypowska, niegdyś szwaczka, ostatnio baletnica w szantanach rosyjskich, zabita przez dawnego narzeczonego, garbarza Dybikowskiego, w teatrzyku „Alexandrine“ w Warszawie.

Tajemniczy dramat kolejowy.

W Anglii zdarzyła się katastrofa kolejowa, której przyczyny nie może nikt wytłómaczyć. Pociąg Nord Ekspress zatrzymujący się 5 minut na stacyi Grautham, przejechał ją w szalonem tempie 64 kilometrów na godzinę, wpadł na ostry łuk, który w zwykłych warunkach mijał z szybkością 16 klm. na godzinę, a skutkiem tego dostawszy się na fałszywy tor, runął z mostu. W rozbitym pociągu powstał pożar, który jeszcze zwiększył ogrom katastrofy. Zginęło 10 osób na miejscu, 16 jest ciężko rannych. Śledztwo wykazało, że sygnały, weksle, hamulce itp. wszystko było w porządku, a maszynista uchodził za jednego z najlepszych. Kolejarze tedy nie mogą sobie wytłómaczyć przyczyn wykolejenia się tego pociągu. Ale natomiast opowiadają w Grautham, że w czasie przejazdu Ekspressu przez tę stacyę, widziano maszynistę z palaczem w rozpaczliwej walce na parowozie, z czego wnosić należy, iż jeden z nich musiał uledz nagłemu obłąkaniu. Obaj nie żyją. Z pod gruzów wyciągnięto tylko ich trupy.

W uznaniu zasług.

(Do portretu na str. 18).

W uznaniu istotnych zasług cesarz nadał w tych dniach dziedziczne szlachectwo radcy dworu prof. Fryderykowi Zollowi w Krakowie. Ten najlepszy przyjaciel, opiekun i doradca młodzieży wykształcił z katedry starej wszechnicy Jagiellońskiej tysiące prawników, którzy ze czcią należną i wdzię-



Fot. W. Lis.
Odkrycie fałszywej mennicy: Aresztowany fabrykant 5-koronówek, Eugeniusz Danielewski, wspólnik Niwelta.

cznością prawdziwą po dziś dzień wspominają imię sędziwego rektora. Niemniejsze uznanie dla Fryderyka Zolla żywią obywatele miasta Krakowa, dla których dobra przez szereg lat pracował on gorliwie w Radzie miejskiej i w Sejmie, dając dowody gorącego umiłowania starego grodu. Nauce polskiej złożył dr Zoll w dani szereg wybitnych dzieł fachowych, a w organizacyi tej nauki zajął pierwszorzędne stanowisko, jako długoletni wiceprezes Akademii Umiejętności, a dyrektor jej wydziału historyczno-filozoficzuego. Działalność jegoześrodkowała się jednak w Uniwersytecie Jagiellońskim, który zapisał imię dra F. Zolla między swych najzasłużeńszych rektorów, dziekanów i profesorów. Stara Alma Mater pożegna go ze szczerym żalem, prof. Zoll przechodzi bowiem po długich latach pracy w stały stan spoczynku.



Fot. W. Lis.
Odkrycie fałszywej mennicy: Aresztowany Józef Chmielowski, który ze Stabryłą puszczał w obieg fałszywe 5-koronówki z fabryki Niwelta.

Z lwowskiego bruku.

(Moje nieporozumienie. — Imieniny prezydenta i goście przy gęsinie. — Mięsne rozmyślania i sposób na drożyznę. — Najnowsza droga do sławy przy pomocy policyi. — Z teatru.— Klisia).

Z powodu nieporozumienia, jakie „wybuchło“ między mną a moimi trzema sezonowymi krawcami, których zadaniem jest upiększać moją codzienną powierzchowność na raty, musiałem wyjechać na ośm dni ze Lwowa i czekać na prowincyi z cierpliwością prawosławnego anioła, aż się utemperuje ich karygodna żądza pieniędzy, albo krwi mojej. Dlatego nie mogłem poprzedniego numeru ozdobić lwowskim feljetonem, a dziś wyjaśniając to zaniedbanie, przysięgam kochanym Czytelniczkom na swoją miłość, że to się już nie powtórzy nigdy.



Redaktorowie na wygnaniu: Humorysta Władysław Buchner, redaktor zawieszonej „Muchy“, któremu kazano wyjechać z Warszawy za granicę.

Do Lwowa wróciłem na samego Michała, a że to jest dzień imienin pana prezydenta Michała Michalskiego i jego małżonki pani Michaliny Michalskiej, przeto ubrałem się możliwie czarno i pośpieszyłem do ratusza, aby pp. prezydentostwu powinszować. Nie dopuszczono mnie do głosu, bo naprzód wystrzeliła swoje gratulacye Strzelnica z królem Rylskim na czele. Potem inni, potem jeszcze inni winszowali gościnnym gospodarzom, a wszyscy mieli usta przepełnione serdecznością, mięsem i alkoholami. Nawet radni miasta, ci sami, którzy przynajmniej raz na tydzień wiercą panu prezydentowi coraz nową dziurę w brzuchu, byli w tym dniu niezwykle uprzejmi, a radny Czarnecki nie wniósł ani jednej interpelacyi. Dopiero znacznie później, kiedy wino poszło mu częścią do nóg a częścią do głowy, zainterpelował radny Czarnecki pana prezydenta, co zamierza uczynić, aby na przyszłość we wrześniu nie padał śnieg i nie nastawała tak wczesna zima.

Swoją drogą, że na tem zebraniu u państwa Michalskich zeszli się ze sobą ludzie, którzy byliby się chętniej widzieli na dnie morza, albo w powietrzu na jedwabnym sznureczku, a nie pod jednym dachem przy lampce pieniącego się szampana i dymiących półmiskach prezydenckiej gęsiny. Np. taki Helller z Pawlikowskim. Ale wino i gęsina są u nas tym kitem, który łączy bodaj na krótko dwa bieguny, przytula do siebie taki plus z minusem, ażeby je potem na nowo odepchnąć lub rozerwać.

Chciałem w powyższem zdaniu powiedzieć jakiś mądry aforyzm, który mi się nie udał, bo cała moja głowa zajęta jest w tej chwili mięsem. Nie jestem rzeźnikiem, ani restauratorem, ale jako wielki zwolennik wszelkiego gatunku mięsa, z wyjątkiem starego i wągrowatego, odczuwam boleśnie ponowne podwyższenie cen mięsa w jatkach lwowskich i zmuszony jestem stopniowo odzwyczajać się od tego bądź co bądź tak koniecznego dla niejaroszów pokarmu. Wprawdzie magistrat lwowski robi wszystko możliwe, aby się ludziom zdawało, że coś robi na tę drożyznę, czy przeciw niej, ale ja nie wierzę w żadne ankiety rzeźników i konferencye z wołami i dlatego udałem się z przedstawieniem do kilku tutejszych rzeźników, apelując w imieniu mieszkańców do ich honoru, lojalności obywatelskiej i rzeźnickiego sumienia. Wytłómaczyli mi w sekrecie, że muszą się sami ratować przed śmiercią głodową, a we Lwowie jest obecnie taki brak bydła, że rzeźnicy zmuszeni są dla zaspokojenia apetytu mieszkańców sprzedawać psie mięso zamiast baraniny, o czem już nawet w magistracie wiedzą i milczą. Radzili mi przytem, abym nigdy nie próbował nawet być rzeźnikiem, jeśli chcę spokojnie żyć i szczęśliwie umrzeć. Rzeźnik bowiem tyle się za życia nairytuje, że nawet po śmierci ma czerwony nos.



Tajemniczy dramat kolejowy: Rozbicie się Nord-Ekspressu pod Grautham w Anglii, skutkiem szybkości 64 klm., zamiast 16 na godzinę.

Widziałem i zrozumiałem, że ani ja ani magistrat nie zrobimy nic na tę drożyznę i wynaleźliśmy jednak sposób: odzwyczajanie się stopniowe od mięsa. Jeśli na tę drogę wstąpimy, to przyjdzie kiedyś czas, że w całym Lwowie rzeźnicy ani jednego funta mięsa nie sprzedadzą. W takim razie rzeźnicy będą mieli dwie drogi do raju: albo zginąć z głodu, albo umrzeć z przejedzenia.



Redaktorowie na wygnaniu: Humorysta Antoni Orłowski (Krogulec), redaktor zawieszonej „Kukułki“, któremu kazano wyjechać z Warszawy za granicę.

Naszą bowiem abstynencyą doprowadzimy ich do tego, że sami będą musieli zjeść wszystkie swoje zapasy. Doprowadzimy dalej do tego, że bydło lwowskie i z okolicy rozmnoży się w takiej ilości, że nie tylko mięso potanieje, ale same woły, krowy i cielęta zgłaszać się będą w rzeźni miejskiej, aby je zarzynano, tak, jak to teraz czynią we Lwowie niedzielni obywatele, zgłaszający się po pijanemu do „trzymających“ służbę policyantów z prośbą o porąbanie.

Ten bowiem sposób jest najkrótszą drogą do osiągnięcia sławy męczennika. Największym teraz honorem, dać się porąbać przez policyanta. Trzeba zarazem podnieść z uznaniem, że lwowska policya chętnie przyczynia się do osiągnięcia takiej sławy, ile razy nadarzy się ku temu sposobność. Im większy uszczerbek poniesie aferzysta na zdrowiu, tem większa czeka go sława. Jeden palec odcięty już wystarcza, aby być głośnym, a daj sobie wy-





Tajemniczy dramat kolejowy: Rozbicie się Nord-Ekspressu pod Grautham w Anglii, skutkiem szybkości 64 klm., zamiast 16 na godzinę.



W uznaniu zasług: Odznaczony przez cesarza dziedzicznem szlachectwem, członek Izby panów, radca dworu Fryderyk Zoll (starszy), zasłużony prawnik i profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wiceprezes Akademii Umiejętności w Krakowie.

bić trzy zęby, między tymi jeden trzonowy, to reporterzy na gwałt szukają twojej fotografii. Odcięta głowa uprawnia byłego jej właściciela do kanonizacyi.

Tak więc policya lwowska przecież jeszcze na coś przydać się może a nie tylko na aresztowanie kolporterów i sterowanie polityką stolicy.

* * *

Już kończę fejletonik a mam jeszcze na sumieniu kilka tematów, które bodaj mimochodem poruszyć muszę. Otóż naprzód teatr. Idzie teraz naprzemian dramat, operetka a nawet opera. Nie jest to jeszcze wielka sezonowa opera z gwiazdami o pierwszorzędnym połysku zagranicznym, nieraz nawet zblakłym, ale w każdym razie opera z naszemi krajowemi gwiazdkami o takich nazwiskach, jak Gembarzewska, Oleska, Mokrzycka, Ludwig, Mossoczy, Malawski... A więc wstęp do wielkiego sezonu. O dramacie byłoby zbytecznem pisać, że jego teraźniejszy zespół jest bardzo dobry i — obfity. Tak bowiem piłowali Hellera ze wszystkich stron, że prócz bardzo wielu sił nowych a tak świetnych (Sosnowscy, Trapszo, Walewski, Wostrowski itp.) poangażował prawie wszystkie siły dotychczasowe Ma więc aż za wiele. To samo da się powiedzieć o operetce, której stała gwiazda „najulubieńsza“ Klisia „nie dała się“ i wróciła do zupełnego zdrowia, aby znowu nucić słowiczym głosikiem rozkochanym w niej Lwowianom.

O wszystkiem innem potem, bo zaraz stracę pocztę.

Kącik humorystyczny.

Nowy sposób.

— Jakto, chcesz się borykać z atletami, a to po co?

— Pragnę zyskać szacunek u moich wierzycieli.

Wytłómaczył mu.

Pewien szlagon z Ukrainy przyjeżdża do Krakowa i w towarzystwie swego nadwornego Kozaka Iwana zwiedza osobliwości naszego miasta, między innemi także galeryę obrazów. Iwan naturalnie rozdziawia gębę nad takimi cudami, lecz nie może sobie wykalkulować, po co są ramy przy obrazach — pyta się zatem swego pana.

— Chamie jakiś! — rzecze jego pan pogardliwie. — Przecież malarz musi wiedzieć, kiedy ma przestać malować...

Zimowe palto.

Palto należy do wielkiej rodziny Ubrań, ale przedewszystkiem do człowieka, które je kupił, zamienił niechcący w restauracyi lub umyślnie ukradł. Palta są długie i krótkie, a mogą być także kradzione. Ostatnie mają tę własność, że lubią wędrować do miejsc zwanych lombardami, gdzie nieraz długo czekają na swego właściciela. Ten odnalazłszy je — na znak uznania dla tak pożytecznego stworzenia — włazi w nie natychmiast z radością a nawet rękami. Palto nie mając nóg, nie może samo chodzić i dlatego człowiek je nosi. Palto ma po bokach dwa otwory, zwane pospolicie kieszeniami, przeznaczone do przechowywania zapałek, chustek do nosa i innych przedmiotów zbytku. W otwory te nie należy jednak kłaść palącego się papierosa.

Palto jest stworzeniem niezmiernie cierpliwem i łagodnem Daje się trzepać i wieszać i to bez najmniejszej szkody dla siebie. Jest wiernym towarzyszem człowieka, uczestniczy z nim w różnych nocnych wycieczkach i libacyach po knajpach. Człowiek dobry i miłujący swoje palto, nie skąpi mu od czasu do czasu sosu, wódki i piwa, jak o tem świadczą plamy niektórych tych stworzeń, a nawet i rękawy, któremi dobry człowiek wyciera z piwa stoliki — ułatwiając znakomicie ciężką pracę kelnerom

Palta lubią okolice zimne i wylęgają tłumnie tylko w zimowej porze. Ludy środkowej Afryki i literaci paltotów nie znają.

Na lato zapada palto w głęboki sen letni i upalne miesiące przepędza albo w ciemnej szafie swego pana (ale to rzadziej). Zazwyczaj znajduje schronisko wraz z innymi towarzyszami niedoli w miejscach wyżej już opisanych, zwanych lombardami, gdzie oczekuje w spokoju — najbliższego terminu licytacyjnego...

A to dobre!

— Więc wyciągnęli panu pugilares i zegarek, a pan nic nie czułeś?

— Nie, panie, ja mam taki straszny katar!

Na wsi.

Dziedziczka. A czego płaczesz Magda?
Magda. Bo mnie sołtys sprał!
Dziedziczka. Sołtys? a jakiem to prawem?
Magda. Nijakiem prawem, jeno kijem.

Z przyjemnością.

— Aby podjąć ubezpieczoną sumę, musi nam pani przedłożyć i poświadczenie śmierci męża.

— Z przyjemnością!

Poczciwa żona.

— A więc żona twego przyjaciela jedzie do Paryża — a ja wiecznie w domu muszę siedzieć?

— Posłuchaj duszko — on robi długi.

— Tak, a ty się nie wstydzisz, żeby nie mieć żadnego kredytu?

Myśl ekonomisty.

Są ludzie, którzy tak oryginalnie rozporządzają swemi finansami, iż wciągu miesiąca 30 dni są goli.

„Mateczka“

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

25 (Ciąg dalszy).

Wszyscy wybiegli do okien, do drzwi z ciekawością...

A tu jeden za drugim zajeżdżają powozy rosyjskie w trójkę zaprzężone.

Zziajane konie wpadły pędem przed podjazd pałacowy.

To generał z kilkunastu artystkami petersburskich teatrów przyjechał niespodziewanie.

Okazało się, że zatrzymali się po drodze na noc jeszcze w Smoleńsku i dopiero po zabawie nad ranem wynajęli dorożki w mieście, któremi przybyli uciążliwą drogą kołową do majątku generała aż przed południem.

O tej porze jeszcze się nikt nie spodziewał ich przyjazdu w pałacu. Tem mniej oczekiwała przybycia dziedzica w godzinie, w której nie mógł nadejść żaden pociąg z Petersburga — śpiąca w najlepsze pani Felicya.

Rozbudził ją na gwałt pan Felicyan, który wyjrzawszy oknem na skutek nagłej wrzawy na dziedzińcu, zawołał głośno:

— Generał przyjechał!

Rozespana kobieta rzuciła się co prędzej do toalety, zadzwoniła na służbę, ale w tej chwili powstało w całym domu takie zamieszanie, że ani myśleć było o dowołaniu się kogokolwiek ze służących.

Felicya drzwi na korytarz uchyliła i z progu swego pokoju krzyczała:

— Sonja! Sońka!

Ale nikt nie przychodził. Więc powróciła do umywalni i żywo myć się zaczęła obnażona do pasa. Wśród plusku wody nie dosłyszała w tej chwili śmiechów i kroków na kurytarzu....

A tu we drzwiach stanął właśnie generał w blado-żółtym kitlu czesunczynowym i w białej czapce na głowie, wybuchając śmiechem serdecznym.

Przez Felicyę umyślnie wysłany przed chwilą na jego powitanie, młody pan Felicyan, oświadczył dziedzicowi wysiadającemu z powozu, że gospodyni oczekiwała go rano i noc strawiła na przygotowaniach do przyjęcia gości, wobec tego spała teraz i dopiero się ubiera, więc kazała przeprosić, że wyjdzie aż za chwilę.

Młody agronom zaledwie od kilku tygodni ucząc się rosyjskiego, nie mógł inaczej porozumieć się z generałem, jak tylko po niemiecku, sam bowiem w pruskich szkołach wykształcony, władał tym językiem dobrze, a od Felicyi wiedział, że i dziedzic umie doskonale po niemiecku i nawet chętniej mówi tym językiem niźli po francusku, ile razy wypada mu rozprawić się z obcokrajowcem.

Na wstępie zaraz, przedstawiwszy się generałowi, usprawiedliwił się tedy z nieznajomości rosyjskiego, poczem wytłómaczył przed nim nieobecność chwilową gospodyni.

Ale przybysz petersburski nie wiele z tego rozumiał, co się do niego mówiło, gdyż zanadto mu w uszach szumiał jeszcze szampan z nocnej biesiady w Smoleńsku. A zresztą i przez całą drogę nie próżnowano, racząc się obficie koniakiem, więc długa podróż na świeżem powietrzu, zamiast przyczynić się do wytrzeźwienia, jeszcze pogorszyła tylko sprawę.

Dziedzic ciężko wysiadł z powozu i zataczając się ciągle, szedł przed siebie, raz za razem powtarzając:

— Gosposia nie spodziewała się.... a to ładnie, a to ładnie—przyczem zanosił się od śmiechu.

I wśród tego właśnie przystanął w progu pokoju Felicyi, słaniając się.

Wybuch jego śmiechu oderwał zażenowaną kobietę od miednicy. Złością zapałała na to najście nieoczekiwane, tem bardziej, że za generałem zjawiły się, hichocące, trzy — wystrojone raczej jak na bal, niż do podróży — aktorki, nie mniej pijane od ich amfitryona.

Kryjąc się za drzwi, osłaniała się Felicya ręcznikiem, a mokremi rękoma broniła przystępu gościom niepożądanym do pokoju, ale generał chwiejąc się, gwałtem uparł się wejść do środka i ryczące ze śmiechu, prezentował swoim towarzyszkom:

— To moja gosposia....

— Ależ panie generale — mitygował go delikatnie pan Felicyan w zakłopotaniu, stojąc na uboczu — niechże pan nie zawstydza mojej ciotki....

Generał zatoczył się na szafę, potem w ramię uszczypnął panią Felicyę i zwracając się z powrotem do wyjścia, zawołał:

— No, chodźmy, panienki....

— A połamcie sobie nogi — syknęła przez zęby, prawie głośno Felicya po polsku, zatrzaskując za nimi drzwi.

Generał zaś poszedł do sali jadalnej wraz z trzema paniami i młodym agronomem, do których w westybulu przyłączyła się reszta gości, wysiadających z następnych powozów.

* * *

Kobiet przyjechało ogółem jedenaście, z tych dwie były artystkami dramatu i odznaczały się względnie największą jeszcze inteligencyą ze wszystkich przybyłych. Obie były Rosyankami.

Dwie inne, Małorusinki, pochodzące ze stepów ukraińskich, przedstawiały się za artystki opery dworskiej, ale w istocie były podrzędnemi chórzystkami, chociaż i głos miały niezwykły i z urody mogły być dumne.

Przyjechały z niemi jeszcze trzy śpiewaczki, produkujące się z powodzeniem w szantanach nadnewskich. Jedna z nich, Gruzinka, odznaczała się młodością i mogła śmiało uchodzić za piękność. Śpiewać umiała niebardzo, ale głos miała świeży, silny i dla ucha miły.

Obie jej koleżanki zaś, rozporządzały już tylko resztkami głosu, chociaż posiadały w całej pełni umiejetność śpiewania. U jednej, jak u drugiej trudno też było dopatrzeć się śladów dawnych wdzięków pod grubą warstwą farb, które teraz po podróży męczącej poodpadały z twarzy, odsłaniając niedyskretnie fatalne zmarszczki i fałdy zniszczonej cery, zarówno u nadmiernie otyłej szansonistki paryskiej, jak i wychudzonej kuplecistki niemieckiej z Tyrolu. W świetle kinkietów na scenie, wyglądały obie podstarzałe śpiewaczki jeszcze jako tako, podobnież w gabinetach na kolacyi występowały dostatecznie przygotowane, po długich studyach przed toaletą. Dziś jednak po przybyciu do pałacu generała, przedstawiały istną ruinę.

O wiele lepiej trzymała się od nich, mimo zapewne podobnego wieku, Włoszka. Było to dziecko cyrku. Przyszła na świat dosłownie w stajniach cyrkowych i odtąd całe życie spędzała na różnorodnych produkcyach karkołomnych na arenie. Dzieckiem już wywijała publicznie koziołki przez obręcze na koniach w pędzie, potem popisywała się na trapezie, chodziła po linie z zawiązanemi oczyma, wreszcie skończyła karyerę na tresurze koni. Od kilku lat w ostatnich czasach występowała co wieczór przed publicznością, jako mistrzyni jazdy konnej na arenie cyrkowej i miała zawsze licznych wielbicieli, szczególnie w świecie wojskowym.

Wśród gości pana generała znalazły się wreszcie trzy baletniczki z petersburskich teatrów. Najzdolniejsza z nich była ładną Hiszpanką, toteż słynęła z dzikiego temperamentu w tańcu, jakkolwiek musiała być znacznie starszą od swych dwóch koleżanek, w niczem nie mogących jej dorównać. Te były Rosyankami. Tańczyły w balecie od dziecka i dobrą przeszedłszy szkołę, zdobywały sobie każdym popisem frenetyczne oklaski. Ale w tańcu ich obu była jakaś dziwna ślamazarność. Brzydsza miała być córką żandarma z Wilna, ładniejsza pochodziła właśnie ze Smoleńska i tem chętniej wybrała się w daleką podróż na krótko, na zaproszenie generała, ile że mogła odetchnąć powietrzem stron rodzinnych. Dla niej to nawet ich amfitryon zatrzymywał się z całem towarzystwem po drodze w Smoleńsku, baletniczka bowiem szepnęła mu, że zrobiłby jej największą przyjemność, gdyby mogła choćby na kilka godzin zobaczyć swego ojca, a ten był portyerem hotelowym w tem mieście.

* * *

Wraz z jedynastu paniami, przyjechało jeszcze kilku panów z Petersburga.

Przedewszystkiem był między nimi przyjaciel gospodarza, pułkownik artyleryi, stały wielbiciel Włoszki z cyrku, której tylko krótki czas sprzeniewierzał się dla Gruzinki z szantanu, ale rychło powrócił do swego dawnego ideału z chwilą, gdy generał zajął się piękną śpiewaczką z Imerycyi.

Dalej przyjechał pewien Niemiec, bogaty kupiec petersburski, z którym generał żył od niejakiego czasu w wielkiej zażyłości, ten zaś jadąc do niego na wieś, zabrał z sobą przyjaciółkę, ową Tyrolkę — kuplecistkę.

Obie artystki dramatu, przywiozły z sobą każda swego wielbiciela.

Z wysoką, chudą Tatjaną, o śniadej twarzy i kruczych bujnych włosach, przyjechał inżynier Rosyanin, wychowany i wykształcony w Paryżu, zajęty od paru lat przy budowie nowych kolei w Rosyi. Człowiek ten rozporządzał ogromną fortuną, odziedziczoną po ojcu, który wzbogacił się na Syberyi, a zmarł tragicznie, rozszarpany przez wilki, w czasie powrotu nocą saniami do domu przez zasypane śnieżycą stepy. Młody inżynier, urodzony w Warszawie, gdzie rodzice jego bawili chwilowo w interesach, żył wprawdzie bardzo wesoło w stolicy nadnewskiej, przepędzając wszystek czas wolny w światku teatralnym, mimo to jednak potrafił majątek ojcowski powiększyć jeszcze w dwójnasób, robiąc na spółkę świetne interesa z dwoma swymi przyjaciółmi.

Z tych jednym był właśnie generał, do którego dziś inżynier zawitał z całem towarzystwem. Drugi zaś przyjechał z nimi również, a był wybitnym przemysłowcem rosyjskim. Nieco starszy od inżyniera, a młodszy od generała, człowiek ten pochodził z Kaukazu. Do piętnastego roku nie umiał czytać ani pisać. Ale kiedy się raz wziął do nauki, pracował tak zawzięcie i pilnie, że w dwudziestym piątym roku życia skończył wydział matematyczny na uniwersytecie petersburskim, a w parę lat później został już dyrektorem wielkich fabryk, których rychło stał się współwłaścicielem.

Owdowiawszy w ciągu pierwszego roku pożycia małżeńskiego, rzucił się w wir życia zakulisowego, wciągnięty w ten świat przez przyjaciela swego, inżyniera.

Rychło zakochał się w pewnej aktorce inteligentniejszej od koleżanek i odtąd nie opuszczał jej prawie na krok, wiecznie wyprawiając jej bez powodu sceny zazdrości, nawet wtedy, gdy biedna Zenejda występując na scenie, musiała według roli pocałować kogoś z kolegów.

Zenejda przyjechała z nim naturalnie do majątku generała, a przez cały czas para zakochanych nie rozdzielała się ani na chwilę.

Wyglądali pociesznie, ciągle ku sobie nachyleni, on niski, gruby, z dużą czarną głową, ona nie wiele od niego wyższa, bardzo zaokrąglona, a z małą główką w aureoli włosów rudawych.

* * *

Zaledwie tylko goście z powozów powysiadali i weszli do pałacu, ruda aktoreczka ziewnąwszy bezceremonialnie, zawołała:

— Spać.... spać....

A ponieważ wtórowały jej wszystkie panie, z których prawie żadna nie mogła się już mocno na nogach utrzymać, zadecydowano wtedy, że całe towarzystwo musi przedewszystkiem zażyć spoczynku.

Tak liczne zjazdy w domu generała, a raczej w jego letniem pomieszkaniu — bynajmniej nie bywały rzadkością. Zdarzało się, że gościnny gospodarz przywiózł sobie czasem jeszcze liczniejsze grono przyjaciół, aniżeli tym razem.

Była to jego manja, z której znali wszyscy Piotra Aleksandrowicza.

Jako pułkownik jeszcze ożenił się z pewną Niemką, córką konsula. Ale przekonawszy się rychło, że żona zdradza go z młodziutkim sekretarzem ambasady niemieckiej w Petersburgu, a swoim ziomkiem, po licznych awanturach, które swego czasu dużego nabrały rozgłosu nad Newą i nad Sprewą, rozwiódł się, poczem postarał się, żeby kochanka pani ekspułkownikowej przeniesiono z Rosyi. Odtąd dawna jego żona przebywała w Wiedniu u boku swego przyjaciela z ambasady, a Piotr Aleksandrowicz, niby wdowiec bezdzietny, bawił się szeroko to w stolicy, to na częstych wycieczkach krótkotrwałych pod Smoleńsk do swego majątku.

Tu w jego pałacu był cały szereg pokojów gościnnych, zawsze gotowych na przyjęcie choćby najliczniejszego towarzystwa, jakie z sobą mógł dziedzic przywieźć z nad Newy.

To też nigdy kłopotu nie było z noclegiem.

A co do przyjęcia gości, to gospodyni rezydująca w pałacu stale, miała również sprawę ułatwioną znacznie z tego względu, że amfitryon miał zwyczaj od razu przywozić ze sobą większość prowiantów. Zresztą na wszelki wypadek, gdyby kiedy zabrakło wśród zbytnio przedłużającej się zabawy — napojów, były piwnice pałacowe świetnie zaopatrzone w drogie, stare wina i miody, nie licząc domowych nalewek.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarady.

I.

Ułożył M. Rożański, Gorlice.

Pierwsze właściwie między przyimkami,
Drugie zaś w grece między literami,
Pośród metalów *czwarte oraz trzecie*,
Piąta samogłoska — łatwo ją znajdziecie.
Całość tylko w Galicyi jeszcze egzystuje,
A biedny naród za to pokutuje.
Są jednostki — co z niej ciągną zyski,
Lecz, chwała Bogu, koniec jej już blizki.

II.

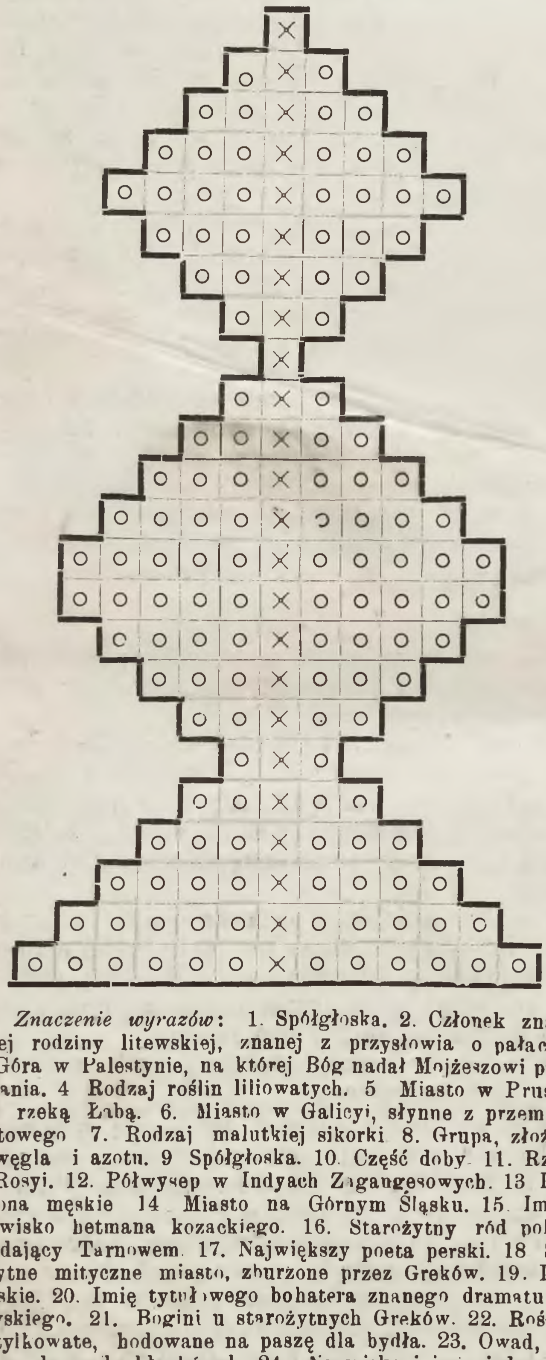
Ułożył Cejot, Kraków.

Pierwszą i trzecią w domu posiadamy,
Trzecią i pierwszą z ziemi układamy,
Drugiej i trzeciej każdy wręcz unika,
Trzecia i druga wskazuje człowieka
Całość na ścianie w domu wieszamy,
O ile jeno ją posiadamy.

Zagadka.

Ułożył St. Waranka, Kocmań.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko sławnego malarza i rytownika polskiego.

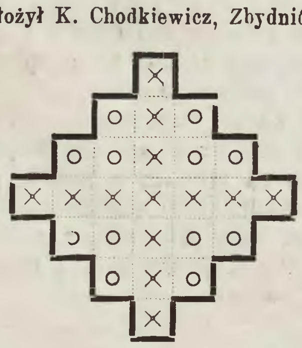


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Członek znakomitej rodziny litewskiej, znanej z przysłowia o pałacach. 3. Góra w Palestynie, na której Bóg nadał Mojżeszowi przykazania. 4 Rodzaj roślin liliowatych. 5 Miasto w Prusach nad rzeką Łabą. 6. Miasto w Galicyi, słynne z przemysłu naftowego 7. Rodzaj malutkiej sikorki 8. Grupa, złożona z węgla i azotu. 9 Spółgłoska. 10. Część doby 11. Rzeka w Rosyi. 12. Półwysep w Indyach Zagangesowych. 13 Dwa imiona męskie 14 Miasto na Górnym Śląsku. 15. Imię i nazwisko hetmana kozackiego. 16. Starożytny ród polski. władający Tarnowem. 17. Największy poeta perski. 18 Starożytne mityczne miasto, zburzone przez Greków. 19. Imię żeńskie. 20. Imię tytułowego bohatera znanego dramatu żydowskiego. 21. Bogini u starożytnych Greków. 22. Rośliny motylkowate, hodowane na paszę dla bydła. 23. Owad, należący do rzędu błonkówek. 24. Nazwisko i imię jednego z najwybitniejszych poetów polskich doby Mickiewiczowskiej.

Dla ułatwienia rozwiązania, podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy utworzyć należy: boh, burg, ce, ce, co, czy, d, dan, du, e, fir, ga, gde, gor, how, i, ja, jan, jon, jó, k, ka, ko, ko, lak, le, li, li, ma ma, mi, miz, na, naj, ner, ni, ni no, noc, pa, pac, pan, re, riel, rze, si, sin, ski, soś, sy, tar, tro, tu, u, wa, wa, wi, wiec, woł, wscy, wy, za, zef.

Kryptogryf.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.



Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły nazwę miejscowości pod Warszawą.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Bóg wiatrów. 3 Ptak, u nas pospolity. 4. ? 5. Inaczej biesiada. 6. Miara gruntu. 7. Samogłoska.

Łamigłówka.

Ułożył J. Brzeziński, Kraków.



W zaciemnionych kwadracikach znajdują się domniemane samogłoski; litery, porozmieszczane obok dowolnie, ustawić w ten sposób, aby wraz z nimi utworzyły wyrazy, których znaczenie jest następujące: 1. Spółgłoska. 2. Rośnie na polu. 3 Rodzaj promu. 4. To, na czem się zazwyczaj śpi. 5. Konieczne w dłuższej podróży. 6. Na to się ludzie częstokroć uskarżają. 7. Spółgłoska.

Litery środkowe, czytane w kierunku pionowym z góry na dół, dadzą nazwisko przyrządu, mającego wielkie zastosowanie w świecie nowoczesnym.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznacza redakcya jako nagrodę **wspaniałą bombonierkę czekoladek** z cukierni A. Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 38.

Arytmogryf.

Tykwa salausa, limba, aniza, Sokal-Sącz.

Kamil.

Kryptogram.

L, ten, czoło, Leonard, Izara, ara, d.

Leonard.

Logogryf.

Tyrani, York, Sas, Zator, koło, Ignatjew, Edmund, Wilno, Iwanow, cacko, Z non.

Tyszkiewicz — Nowodworski.

Arytmogryf I.

A, ara, motyl, karuzel, wikaryusz, prerogatywa, Artur Grottger, arystokrata, amfiteatr, kontusz, pegaz, Rey, r.

Artur Grottger.

Łamigłówka.

Sojka, Drawa, Marta, Brody, Lisko, kozak szyja, Mińsk, suseł, sokół, oliwa.

Jaroszyński.

Arytmogryf II.

W, kły, Leara, Irydion, Propyleje. Stanisławów, Bolesławita, Konrad Wallenrod; Stanisław Konarski, Władysław Warneńczyk, Lodomerya i Galicya, Kazimierz Wielki, Zygmunt Waza, kasztelania, Toruń — Łódź, Grochów, Kazań, byk, k.

Władysław Warneńczyk.

* * *

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: B. Ramułtowa Jeżów-K. Ludwig Borysław, Dr. St. Warmski Turka, W. Dziewiński Kraków. K. Fuchs Czernichów, H. Mokrzycka Drohobycz M. Małaczyński. Pikułowice. A. Surowiecki Kraków, Fr. Niepokój Krosno, Tow. „Zgoda" Krosno, K. Jurkiewicz Tłumacz, K. Chodkiewicz Zbydniów. J. Czechowicz Mikołajów, Al Bocsoń Bóbrka. A. St. Bassara Niwiska, T. Domain Sanok, E. Bogdalski Koropuż. St. Łaszkiewicz Dębica, M. Rożański Gorlice, K. Jasiński Kraków, M. Świtlikowa Rzeszów, H. Karatnicka Nadwórna, W. Ślebiedziński Tarnopol, W. Stanuła Samocice.

Nagrodę za dobre rozwiązania otrzymał przez losowanie p. W. **Słebiedziński w Tarnopolu**. Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

Wszystkich, nadsyłających szarady do umieszczenia, prosimy o cierpliwość. Każda szarada, o ile się tylko do druku nadaje, z pewnością zostanie wydrukowana, musi jednak czekać na swą kolej. Zamieszczamy bowiem zagadki według porządku, w jakim je otrzymujemy, i dlatego to nieraz musimy bardzo dobre szarady odkładać na później, aż na nie przyjdzie kolej. P. T. Autorów prosimy zatem o cierpliwość.

Nadsyłającym rozwiązania. Dla uniknięcia niepotrzebnych skarg i nieporozumień między Redakcyą a PT. rozwiązującymi, zaznaczamy raz jeszcze, że tylko nazwiska tych rozwiązujących będą umieszczone w spisie, którzy nadeślą rozwiązanie najpóźniej w 8 dni po otrzymaniu numeru z zagadkami, tj. 8 dni od daty numeru. Późniejszych rozwiązań ze względów technicznych zamieszczać nie możemy.

Kącik humorystyczny.

Za dobry.

Pewien szlachcic węgierski kupował na jarmarku konia... Już sobie wybrał odpowiedniego, kiedy handlarz zachwalając jeszcze swój towar mówi:

— To koń doskonały; przebiega dwanaście mil bez wypoczynku!

— Dwanaście mil bez wypoczynku! mówi szlachcic — w takim razie nie mogę go kupić, bo mieszkam zaledwie o ośm mil ztąd; zawiozła by mnie bestya za daleko.

I to sposób.

— Bój się Boga, jaki to oszczędny naród Niemcy.

— No, dlaczego?

— Solenizantów u nich wcale nie ma, by imienin nie wyprawiać.

Aforyzmy.

— Myśl dobra w nieszczęściu jest połową szczęścia.

— Nadzieja jest snem człowieka na jawie.

— Jakim kto jest, tak mówi, tak czyni i żyje.

— Głupiec zawsze oskarża drugich, półmędrek siebie, mędrek nikogo.